

EPOKA

ROK IV.

Warszawa, 20 sierpnia 1937 r.

Rok IV, Nr. 16 (95)

Treść numeru:

ASPIRACJE UPIORÓW PRZESZŁOŚCI

Z DNIA NA DZIĘĆ:

Sieroszewski płaci kosztą swego temperamentu. — Chlubne wyróżnienie. — Inspiratorzy moralni. — Kręte dróżki. — Odpowiedzialność za szelmostwa.

DWUGŁOS O UNII SOWIECKIEJ: André Gide i Lion Feuchtwanger

INTELEKTUALIŚCI HISZPAŃSCY A REBELIA

Z. Jarosz

FIKCJE I FAŁSZE RZEKOME REALIZMU

St. Grostern

NA BEZDROŻACH PRYMITYWU

J. Smuga

WYDARZENIA I DOKUMENTY

ASPIRACJE UPIORÓW PRZESZŁOŚCI

Zagadnienie t. zw. konsolidacji dominuje w bieżącym sezonie politycznym. Wałkuje się je na łamach całej prasy, która stała się u nas jedyną poniekąd dźwignią opinii publicznej, w zastępstwie i w braku demokratycznego parlamentu, będącego normalnie ogniskiem myśli krytycznej i terenem krzyżujących się pojęć, dążeń i uczuć różnych odłamów narodu.

W zwiercadle tej prasy widać już wyraźnie, że zagadnienie konsolidacji, dotąd rozumianej jako skupienie całego społeczeństwa pod skrzydłami O. Z. N., rozszczepiło się na dwoje pod uderzeniami życia, tworząc właściwie dwa odrębne zagadnienia: konsolidacji wszystkich sił odrodzeniowych i żywiołów przyszłości, oraz konsolidacji żywiołów reakcyjnych.

Obóz więc, którego założeniem z góry powziętym i racją istnienia było usunięcie dotychczasowych podziałów społeczno - politycznych i zniwelowanie głęboko sięgających różnic między poszczególnymi warstwami narodu, — mimowoli stał się przez ironię losu siłą popędową, zwracającą życie w przeciwnym niż zamierzono kierunku. Stał się więc, wbrew swoim teoretycznym przewidywaniom i wbrew daleko sięgającym planom przemożnym bodźcem, który pchnął naprzód i przyspieszył proces dwutorowej i dwugłosej konsolidacji.

Konsolidacja ta, założona nie u źródeł rzeczywistości i nie w zgodzie z naturalnymi procesami rozwojowymi pękła przy pierwszym zetknięciu się z twardymi wymaganiami życia. Istotna treść społeczna, która ocalała po półrocznych daremnych usiłowaniach powiązania programu z życiem — odpowiada jedynie interesom plutokracji i wielkiego ziemiaństwa, wybrańcom przywileju i kapitału finansowego. Te właśnie grupy, olśnione widokami pomysłnej dla siebie przyszłości, podchwyciły z zapalem hasło konsolidacji pod skrzydłami nowego obozu z niezachwianą, głęboko umotywowaną wiarą, że idąc po tej drodze nie utracą ani jednej włóki ziemi na rzecz bezrolnego chłopca i ani jednego procentu dywidendy na rzecz głodnego robotnika lub inteligenta.

Z wynurzeń ich czołobitnej i usługowej prasy wynika jasno, że czują już mocne i pewne pod sobą oparcie. To daje poczucie pewności i wyzwala odwagę, a rzeczą dawno już jest wiadomą, że kto mówi bez obaw — prawdziwym językiem przemawia. W tej sferze idealnego współzawodnictwa za swój akces do O. Z. N. otwarcie już żądają dla siebie koncesji poli-

tycznych i usunięcia wszystkich pozostałych jeszcze zapór, wstrzymujących póki co ostateczne przerzucenie całej polityki rządowej na wielkie koło interesów reakcji. Jawnie więc żądają usunięcia trzech niewygodnych ministrów, a szczególnie ministra rolnictwa, który ośmiela się jeszcze wcielać w życie żalosne surogaty reformy rolnej.

Cała demokracja, mając głęboko słuszne i uмотywowane pretensje do reżymu, prowadzi również krytykę polityki rządowej, ale krytyka ta wychodzi z założeń olbrzymiej większości obywateli, co się ściśle łączy z dobrem całej Rzeczypospolitej. Ale dla kogóż nie jest jasne, że krytyka i żądania konserwy wychodzą z założeń szczupłej i zgranej grupy możnowładczej, której egoizm, nieczułość i sobkostwo przewijają się czerwonymi nićmi przez dzieje Rzeczypospolitej. Czyż to nie Zygmunt Krasiński, krew z krwi błękitnej do żywego dotknięty wystudzoną duszą kasty nie zawołał ze zgrozą, iż ona nawet na grobie pogrzebanej ojczyzny plantuje spokojnie buraki?

Przemawiają więc już tonem wyniosłym, jak gdyby z ganku swych pałaców zwracali się do oficjalistów dworskich, stojących w kornej, pół zgiętej postawie: „jakiż błogosławiony będzie dzień — pisze organ dawnych stańczyków krakowskich — w którym pp. naprawiacze zrzucą nareszcie maski — usłuchawszy wezwania Marszałka Śmigłego — i zarazem z pp. Poniatowskim, Małskim, Kościałkowskim etc. wrócą na łono opozycyjnej lewicy”. Któż jeszcze jak nie „Słowo”, oprócz „Czasu”, oprócz rzeczników magnaterii i finansjery może w Polsce przemawiać w tonie apodyktycznym, nie znoszącym sprzeciwu, i wskazywać wielkopańskim gestem, kogo zrzucić z foteli ministerialnych, a kogo na nie posadzić? Kasty te, jako ostoje i uosobienie reakcji w O. Z. N. posiadły już najwidoczniej tytuł do żądania władzy

i urządzania Polski w duchu starych dobrych czasów. Ich krytyka rządu dzisiejszego, śmiała i bezceremonialnie, nie ma nic wspólnego z krytyką i linią zasadniczą demokracji, prowadzoną w imię praw ludu i jego potrzeb życiowych i obywatelskich.

Nikt nie wątpi, że konsolidacja pod skrzydłami O. Z. N. o takiej treści społecznej i aspiracjach upiórów przeszłości stała się jednym więcej bodźcem do konsolidacji wszystkich sił odrodzeniowych i patriotycznych. Nietajone dziś zakusy opanowania życia polskiego przez żywoły najczarniejszej reakcji pasorzytniczej obudziły czujność i na nogi postawiły cały świat pracy, zaprawiony już od pokoleń w walce o niepodległą i demokratyczną Polskę. Jest to jedyna dziś najmocniejsza i nicyzm nie zastąpiona baza do organizowania i wyzwolenia dławionych wciąż sił wytwórczych, obronnych i kulturalnych.

Kiedy Polsce w oczy zajaśniało śmiertelne niebezpieczeństwo, Józef Piłsudski zażądał stworzenia rządu ludowo-robotniczego, wiedząc, że ramieniem obronnym i rękojmą uratowania niepodległości są wielomilionowe rzesze pracujące.

Także i dziś wyprowadzenie Rzeczypospolitej z chaosu, utrwalenie jej wewnętrznej niepodległości i podniesienie stopnia obronności kraju osiągnięte być może tylko przez gruntowne zdemokratyzowanie życia polskiego i przez uruchomienie drzemającej dotąd energii duchowej i materialnej wielomilionowych rzesz pracujących. Cóż w porównaniu z tymi źródłami siły i pożytku, wartości i korzyści kraj spodziewać się może od kast i grup uprzywilejowanych? Kast i grup oplatających u góry pień Rzeczypospolitej, choć niosą w sobie nie zaród życia, lecz zapowiedź i znamiona śmierci. Czyż z wnętrza strupieszalej reakcji Polska zdoła wydobyć coś więcej, niż jeszcze trochę jadu, zgnilizny lub próchna?

Z dnia na dzień

SIEROSZEWSKI PŁACI KOSZTA... SWEGO TEMPERAMENTU

Któż nie pamięta głośnego w prasie wystąpienia Wacława Sieroszewskiego w związku z aktem samowoli biskupa Sapięhy? Sędziwy prezes Akademii Literatury wybuchnął wtedy resztą swego bojowego niegdyś temperamentu, żądając natychmiastowych sankcyj karnych przeciw niesformemu dostojnikowi kościoła.

Kto zna stosunki naszego rodzimego kojca, ten z góry wiedział, że staremu Sirce na sucho to nie ujdzie. Ale myliłby się, gdyby sądził, że przeciwnicy wydadzą mu walkę w otwartym polu. Niel Skądże znowu? To — przeczyłoby wszelkim ustalonym w tym koju prawidłom strategii. Prezesa akademii poprostu oskarżono o... plagiat literacki, popełniony jakoby na „Bajkach” Grimma. Powtórzono z całą elegancją manewr, który akurat rok temu zastosowano przeciw Wincentemu Rzymowskiemu. I tym razem wystąpiła z oskarżeniem naprzód endecja (na łamach łódzkiego „Orędownika” z d. 26 i 29 VII), zarzut zaś endecki ca-

łym sercem poparł „Czas”, rzecznik konserwy i plutokracji.

Tak w pewnym zakresie doszło do skutku dzieło „zjednoczenia narodowego” na skórze biednego, starego Sirki, który sam, poniekąd, był jednym z tych, którzy owemu „zjednoczeniu” patronowali.

„Czas” wysmiewa argumenty prezesa akademii, który próbuje tłumaczyć się tym, że „po niemiecku nie umie”, że Grimma w ogóle nawet po polsku nie czytał; tematy zaś do swego utworu („Inwaldzi”) zaczerpnął był niegdyś z opowiadań swej niańki.

„— A więc — drwi zjadliwie organ konserwy — wszystkiemu winna niania, która małego Wacusia nie uprzedziła o autorstwie bajeczki. Teraz prezes akademii musi się tłumaczyć z zarzutu popełnienia plagiatu. Z pewnością niecodzienne zjawisko... możliwe chyba tylko w P. A. L.-u”.

Tak; zjawisko jest może i niecodzienne, ale niania z pewnością nie jest tu winna. Zawinił sam Sieroszewski; tylko nie tym, o co go oskarżono. Nie tym, że

dotknął puścizny literackiej Grimma. Zbrodnia jego była o wiele cięższa, a polegała na tym, że dotknął on ręką majestatu biskupa. Ta dopiero wina jest nieprzebaczalna. Ta dopiero przekreśliła go w oczach kół, które były mu oklaski, gdy z trybuny senackiej bronił idei obozów koncentracyjnych, srogo zaś przeciwstawiał się instytucji sądu przysięgłych.

Dopóki szedł, ze starym igrasem zaślępieniem, w szeregach reakcji, nie miał żadnych powodów do powątpiewania, że jest wspaniałą gwiazdą akademicką naszej literatury. Dopiero gdy jednym, szczerym wybuchem sprzeniewierzył się reakcji i klerykalizmowi, wysunięto przeciw niemu wypróbowany zarzut plagiatu. I wysunęli go akurat ci, których całe wyznaczenie wiary jest niczym innym, jak plagiatem, codzień popełnianym na doktrynie hitleryzmu.

CHLUBNE WYRÓŻNIENIE

Niedawno w Paryżu zakończył swe obrady międzynarodowy kongres prasy pedagogicznej, na którym reprezentowane były kraje całego świata. Z ramienia

Polski wystąpił tam jedynie Związek Nauczycielstwa Polskiego z swoim dorobkiem czasopiśmiennictwa pedagogicznego.

Związek ten, jak wiadomo, ogromnym nakładem sił i środków rozwija wszechstronną działalność wydawniczą: nie tylko przysparza literaturze pedagogicznej setki prac naukowych dużej wartości, zarówno oryginalnych, jak i tłumaczonych, nie tylko ogniskuje siły pisarskie dla przedsięwzięć wydawniczych o takim znaczeniu i zakresie, jak wielotomowa encyklopedia wychowawcza, ale także wciąż rozszerza i doskonali prasę zawodową, przystosowaną do potrzeb szkolnictwa i obsługującą dziesiątki tysięcy nauczycieli. Nie licząc pism, wydawanych specjalnie dla dzieci, Związek poszczycić się może liczbą szesnastu czasopism pedagogicznych.

O wartości zaś tego wydawnictwa wypowiedział się właśnie kongres prasy pedagogicznej, wypowiedziały się narody, które szczytą się słusnie swoim wzorowym szkolnictwem i bogatym dorobkiem wychowawczym, osiągniętym w drodze wiekowego doświadczenia i pomnażanym przez pokolenia uczonych pedagogów i nauczycieli wychowawców. Opinia zaś ta na forum świata pedagogicznego wypadła dla Związku Nauczycielstwa Polskiego jak najzaszczytniej. Dość powiedzieć, że uznano polską prasę pedagogiczną za bezkonkurencyjną, wyznaczając jej pierwsze miejsce ze względu na wartość użyteczną i wychowawczą, na poziom naukowy, jak również i ze względu na zalety graficzne i artystyczne.

Jak prasa „patriotyczna” przyjęła to chlubne wyróżnienie pracy polskiej w dziedzinie wychowania, tak ważnej i doniosłej dla narodu polskiego? Czy otrąbiła ten sukces w sposób tyleż chociażby wrzaskliwy, co np. rekordy skoków na tyczce lub rekordy uderzeń bokserkich? Czy uczuła się dumna, że nauczycielstwo polskie, dźwigając dzieło wychowania w warunkach niezmiernie ciężkich, mając do przewyżczenia mnóstwo przeszkód i trudności, wynikających i z ubóstw środków, i z ciemnoty i ze złej woli lub obojętności otoczenia — otrzymało pierwsze miejsce wśród narodów całego świata?

Gdzież tam! A czyż można się było spodziewać, że ta prasa „światłonośna” zdobędzie się na heroizm i zaprzeczy sama sobie, wyrzeknie się swego przeznaczenia? Mając bowiem tylko, jeżeli chodzi o Związek Nauczycielstwa Polskiego, niewyczerpane zapasy złości i jadu, którymi obryzguje go przez długie lata; mając również za zadanie w opinii publicznej utrwalac wyobrażenie o Związku, jako o przybytku zła i szkodnictwa — jakże ona może głosić dziś wiadomości o pozytywnych wynikach jego pracy dla

narodu? Czy w służbie mroku, głupstwa i oszczerstwa wypada podnosić światło rozumu i szczyć się tryumfem nauki i prawdy?

INSPIRATORZY MORALNI

Burmistrz Magdeburga ofiarował Państwu Polskiemu budynek w obrębie cytadeli magdeburskiej, w którym więziony był Marszałek Piłsudski.

Niewątpliwie gest ten odpowiada uczuciom większości Polaków, zwłaszcza tych, którzy walczyli o wolność. Niepotrzebnie tylko prohitlerowskie organy naszej prasy codziennej zaopatrzyły tę wiadomość tryumfalnymi nagłówkami, usiłując w ten sposób z aktu kurtuazji ukuć dla siebie kapitał polityczny.

Skoro więc nie chcą zadowolić się samym znaczeniem moralnym tego podarunku i wywieszają krzykliwy transparent propagandowy, — to trzeba im zwrócić uwagę na pewien szczegół historyczny, którego nie powinni przeoczyć w swojej gorliwości. Ten szczegół mianowicie, że kraty więzienne w cytadeli magdeburskiej skruszył lud niemiecki podczas rewolucji 1918 r. i on to, podniesiony na duchu swoją wolnością i szanując wolność innych, tryumfalnie przekreślił akt beselerskiej przemocy, otwierając naociecz wrota więzienne przed Marszałkiem Piłsudskim. Lud ten więc jeszcze dwadzieścia lat temu stał się moralnym inspiratorem i faktycznym, prawym dysponentem darowizny dzisiejszej.

KRĘTE DRÓŻKI

Nagła zmiana stanowiska „I. K. C.” wobec totalizmu zastanowiła nieco czytającą publiczność. Wspominaliśmy już, że nikt naturalnie nie może tutaj posądzać o pobudki ideowe wydawców „I. K. C.”, którzy kierować się zwykły wyrachowaniem praktycznym. Interesem kierowali się oni wówczas, gdy byli czcicielami hitleryzmu; niewątpliwie, interesem kierują się i dziś, gdy hitleryzm zohydżają. Zastanawiano się tylko nad tym, jakie to pobudki materialne sprawiły, że „Ikac” jeszcze w niedzielę gloryfikował system III Rzeszy a już w poniedziałek miotał na nią pioruny i pomstował siarczyście.

Zagadka ta prędzej się wyjaśniła, niż można się było spodziewać, a wyjaśnił ją sam „Ikac” na swoich łamach: „Ze swej strony winni jesteśmy Czytelnikom naszym, zwłaszcza na terenie Rzeszy niemieckiej, wyjaśnienie, dlaczego od pewnego czasu „Ilustrowany Kurjer Codzienny” nie dochodzi do Niemiec. Oto w dn. 26 czerwca zawiadomiono poufnie redakcję naszą i to nie z urzędowej strony niemieckiej, że „IKC” odebrany będzie debit. W dniu 10 lipca, a więc w 14 dni potem, zarządzenie takie istotnie się ukazało. Przyczyna nie jest nam dotąd znana”.

Ale przyczyna zmiany stanowiska „I. K. C.” jest jasna, i wcale byśmy się nią nie zajmowali, gdyby nie pożyteczna nauka, która stąd wypływa. Ogół bowiem ma jeszcze raz sposobność się przekonać, co warta jest opinia bezideowej prasy, zarówno wtedy, gdy wspiera lub gloryfikuje pewne kierunki, jak i wtedy gdy je krytykuje lub zwalcza.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA SZELMOSTWA.

Nikt po stronie demokracji polskiej nie wątpił, że endeckie praktyki nie przysporzą sławy imieniowi naszemu. Ale też nikt nie spodziewał się, że po drugiej stronie naszej zachodniej granicy zaczną nadto jakąś plugawą robotę zapisywać na polski rachunek. Tak bowiem się stało w Bytomiu i w Zabrze, gdzie oddziały „Hitlerjugend” urządziły ostatnio pogrom żydowski.

Komunikat policyjny w Gliwicach uznał ten pogrom nie za przejawy „teżyzny narodowej”, lecz za działania „zapłaconych czynników zagranicznych”, którym naturalnie zależy na zohydżaniu kultury niemieckiej. Dla wzmocnienia zaś „wiarygodności” twierdzeń tamtejszej policji, rozpuszczono złośliwe plotki wśród ludności Bytomia i Zabrze insynuując, że pogrom dokonały „napływowe elementy, pochodzące z Polski”.

Oczywiście nikt u nas wiary temu nie da, bo nasi rodzimi pogromszczycy nie cierpią u nas wskutek bezrobocia i nie mają żadnej naglącej potrzeby udawać się na krwawe występy aż za niemiecką granicę.

Dotąd wszyscy humaniści polscy sądzili, że endecką furię antysemitką wyzwolił i podsyca hitleryzm i że jemu przede wszystkim zawdzięczać powinniśmy praktyki endeckie. Tymczasem dowiadujemy się, że hitlerowcy przejęci poczuciem prawa i hołdujący zasadami człowieczeństwa — nic wspólnego nie mają z robotą pogromową, a wszelkie próby barbaryzowania życia niemieckiego przypisują teraz Polakom. Już wielki czas, ażeby polscy filo-hitlerowcy porozumieli się wyraźnie z swoimi pobratymcami i ustalili wspólnie zarówno istotę swego apostołstwa, opromienionego chwałą i bohaterstwem, jak i zakres odpowiedzialności za swoje szelmstwa.

Olbrzymia bowiem większość społeczeństwa, dbała o imię i wolnościowe tradycje narodu polskiego nie widzi racji, ażeby w obliczu cywilizowanego świata płonać ze wstydu za ich zdżiczenie i krwawe praktyki w dwadzieścia lat po skruszeniu obcej tyranii.

ŚMIAŁE I LEKKOMYŚLNE ZARZUTY

W dodatku literackim do „Polski Zbrojnej” ukazał się artykuł p. t. „Passe-par-

tout na nieodpowiedzialność", będący reakcją na wystąpienie „Epoki” w sprawie Henryka Dembińskiego.

Autor tego artykułu, pisujący pod kryptonimem, jakiś tajemniczy p. Jandr, wzburzony naszym „machiawelskim pomysłem” bronienia Henryka Dembińskiego i kolegów, — zarzuca nam „stronniczość i obłudę”. Obłudę tak wielką, że aż graniczącą z „patologicznym cynizmem”: bo czy „Epoka” broniłaby Dembińskiego i towarzyszy, gdyby byli „faszystowskimi” czy „hitlerowskimi” „bojownikami idei”, czy także „broniłaby ich gdyby — na przykład — byli oenerowcami?” A więc „czy to nie jest stronniczość i obłuda, że „Epoka” ma wzniosłe hasła i zasady tylko dla swoich, dla wtajemniczonych, dla krewniaków politycznych”.

Zarzut ten jest tyleż śmiały, co i lekomyślny. Bo oto np., kiedy w swoim czasie Berezę załadniłi bardzo licznie właśnie oenerowcy, „Epoka” domagała się zniesienia Berezę dla wszystkich bez względu na przekonania polityczne. Dowodziliśmy wówczas dosłownie: „obóz skoncentrowanej niedoli ludzi, wyjętych z pod prawa, wyrósł jako zaprzeczenie wiekowej polskiej tradycji walk o wolność, wyłonił się ubocznie u nas, nie jako naturalny wytwór życia polskiego, nie jako emanacja jego ducha, lecz jako ponury refleks i cień obcej tyranii... Istnienie obozów koncentracyjnych, *bez względu na to, gdzie i przeciwko komu są zakładane* — godzi w samą zasadę prawo-

rzędności i obraża srodze uczucia i sumienie obywatelskie”.

Domagając się zaś amnestii dla emigrantów politycznych, b. więźniów brzeskich, nie czyniliśmy różnic pod względem ich przynależności partyjnej, nie wyłączaaliśmy nikogo, nawet założyciela ugrupowania, zwróconego wtedy przeciw lewicy i o celach wybitnie reakcyjnych. („Epoka” Nr. 5-ty 1936 r. „Cień Berezę” i Nr. 6 „Wielka cena malej emigracji”).

Tymbardziej więc posiadamy tytuł do odwoływania się o sprawiedliwość dla Dembińskiego i kolegów, a także podstawę do żądania szacunku dla prawa moralnego, które „nakazuje żywe poczucie jedności i wspólności z innymi i nie pozwala żyć spokojnie wobec grozy ich niedoli”. Niedoli dziś tym większej, że jak prasa codzienna doniosła stan zdrowia Dembińskiego o tyle się już pogorszył, że przeniesiono go na więzienną salę szpitalną, nie dając mu w dodatku prawa zobaczenia się z rodziną.

Gdyby pisarze typu p. Jandra nie straszili publiczności „komunizmem” Dembińskiego i kolegów, źle ją do nich usposabiając, to może t. zw. sumienie społeczne stało by się bardziej wrażliwe i uczuło się dotknięte tym, że wybitni przedstawiciele intelektu polskiego, rokujący najświetniejsze nadzieje na przyszłość, wtrąceni są za kratę więzienną — przed wyrokiem sądu.

Może jednak p. Jandr się z nami zgo-

dzi, że gdyby Dembiński i inni przeszli inaczej ewolucję swoich poglądów, nie od apologii katolicyzmu społecznego do socjalizmu, lecz w odwrotnym kierunku; gdyby dziś zgłosili akces nie do P.P.S., jak to ostatnio uczynili, lecz, dajmy na to, do O.Z.N. lub O.N.R. i nazajutrz mimo to uwięzieni zostali za „grzechy przeszłości”, to czyż także „Polska Zbrojna” nie ustosunkowałaby się do nich inaczej? Czy wtedy nie splówałyby odrazu zarzuty na nich ciężące, i przeciwnie, czy nie nabrałyby znaczenia ich wybitne wartości umysłowe i moralne? Czy wówczas nie usłyszeliśmyby chóranych wołań o sprawiedliwość dla Dembińskiego i kolegów? Obrona Dembińskiego miałaby wtedy wdzięczne zadanie i nawet liczyć by mogła na poparcie potężnych czynników.

A wreszcie słowo co do zarzutu „tchórzliwości” bezimiennego autora artykułu o Dembińskim w „Epoce”. Może ktoś z doświadczonych publicystów i redaktorów „Polski Zbrojnej” pouczyć raczy p. Jandra o tym, że artykuły wstępne, ukazujące się w czasopiśmie bez podpisu, są bądź wyrazem całej redakcji, bądź są pióra redaktora.

Ale ktoś, stawiając zarzut „tchórzstwa”, a nie chcąc narazić się, mówiąc językiem parlamentarnym, na zarzut zbyt daleko posuniętej odwagi i braku poczucia przyzwoitości, sam przynajmniej powinien swoje wystąpienie podpisać imieniem i nazwiskiem, nie zaś kryć się pod maską kryptonimu, jak to uczynił p. Jandr.

Dwugłos o Unii sowieckiej

André Gide i Lion Feuchtwanger

W zeszłym miesiącu, prawie jednocześnie, ukazały się na widowni wszechświatowej dwie niezmiernie ciekawe i charakterystyczne publikacje, poświęcone stosunkom, panującym w Unii Sowieckiej. Jedna — to książka A. Gide'a „Retouches à mon retour de l'U.R.S.S.”; druga — to książka L. Feuchtwangera „Moskau 1937” („Moskwa w roku 1937”).

Obie te książki, pochodzące z pod piór najwyższej miary pisarzy europejskich, ciekawe same przez się, tym większej nabierają wymowy, gdy je zestawiamy ze sobą. Nie trudno bowiem się domyśleć, czytając Feuchtwangera, że publikacja jego wywołana została krytycznymi o Rosji Sowieckiej uwagami Gide'a i napisana była w tym celu, aby się im przeciwstawić. Tezy francuskiego pisarza, jego spostrzeżenia i sądy, istotnie, raz po raz pojawiają się na kartach książki jego niemieckiego kolegi (obecnie emigranta) jako przedmioty ataku; jako materiał, który, o ile nieprzychylny jest dla rządów sowieckich, usiłuje on zbić lub osłabić.

Czy to mu się udaje?

W pewnym stopniu tak, lecz w bardzo małym. Należy bowiem przypomnieć, że gdy Feuchtwanger

polemizuje z pierwszą, jeszcze zeszłoroczną książką Gide'a, ten już zdążył rzucić na rynek następną (owe właśnie „Uzupełnienia”) w nowe uzbrojone fakty i świadectwa, i w ten sposób zaskoczył swego kolegę materiałem, którego tamten nie mógł przewidzieć, ani uwzględnić.

Czym stanowisko, zawarte w książce Gide'a góruje nad stanowiskiem Feuchtwangera, to przede wszystkim baza, na której się wspiera. Gdy Gide bawił w Rosji kilka miesięcy, Feuchtwanger spędził tam zaledwie, jak sam pisze, dziesięć tygodni. Prócz tego, Gide, jadąc do Rosji, wybrał się przezornie w gronie pięciu przyjaciół, którzy, rzecz można wzmogli i rozszerzyli znacznie zasięg jego osobistej obserwacji. Co sześć par oczu, to nie jedna! Gdy Feuchtwanger podczas krótkiego pobytu w Moskwie obracał się ustawicznie pod życzliwą lecz krępującą opieką agentury rządowej, ekipa francuska podróżowała po obszarach Unii dość długo, aby niejednokrotnie zmylić czujność swych przewodników i ukradkiem wejść w bezpośrednią, a jakże odkrywczą! styczność z ludem.

Wszyscy towarzysze Gide'a są to ludzie znani

w świecie literackim Francji: Jef Last, Schiffrin, Pierre Herbart, Louis Guilloux i Eugène Dabit (ten ostatni zmarł na szkarlatynę podczas pobytu w Z.S.R.R.). Wszyscy, jak sam André Gide, jadąc na Wschód, byli przygotowani, że znajdują tam, jeśli nie urzeczywistnienie, to początek urzeczywistnienia tego, co uważali za swą wiarę społeczną. Dwóch z nich, trzeba podkreślić, mówiło po rosyjsku. Jeden bywał już w Moskwie uprzednio, drugi, Herbart, kierował tam-że przez czas pewien owym czasopiśmem propagandowym, które ukazuje się naraz w czterech językach: „Literatura międzynarodowa”, co pozwoliło mu nieźle orientować się w intrygach miejscowych. On to zwrócił uwagę Gide'a na wiele rzeczy, które niewątpliwie uszłyby jego wzrokowi. Warto przytoczyć tu choćby jeden mądry przykład.

Nazajutrz po przybyciu do Moskwy, Gide otrzymał wizytę Bucharyna, który chadzał jeszcze w blasku uznania; niemniej przeto już wtenczas zaznaczały się tajemniczo pewne poszlaki jego niełaski. Bucharyn przyszedł sam jeden; nim jednak zdążył wejść do salonu w zbyt kownym apartamencie, który oddano do dyspozycji gościa francuskiego, w hotelu Metropol, wyrósł nagle, jak z pod ziemi, jakiś rzekomy dziennikarz i, wplótłszy się do rozmowy, w istocie ją udaremnił. Bucharyn wstał prawie natychmiast i Gide'owi, który odprowadził go do przedpokoju, oznajmił, że jeszcze postara się z nim zobaczyć.

Jakoż spotkali się obaj. Po trzech dniach, na pogrzebie Gorkiego, a raczej w przededniu, kiedy to lud całymi godzinami defilował przed ubranym w kwiaty katafalkiem, na którym spoczywały, nie spopielone jeszcze, zwłoki Gorkiego, w komnacie sąsiedniej, o wiele mniejszej, stali różni „odpowiedzialni”, a między nimi Dymitrow i Bucharyn. Ten ostatni, skoro spostrzegł Gide'a, podszedł doń natychmiast i, biorąc go pod ramię, spytał:

— Czy mogę pana odwiedzić za godzinę w Metropolu? Chciałbym pomówić z panem.

Herbart, który Gide'owi towarzyszył, posłyszał to i zaraz szepnął mu do ucha:

— Założę się, że mu nie dadzą przyjść.

I, rzeczywiście, Kolcow — przystawiony do grona Francuzów w charakterze przewodnika — dostrzegłszy, że Bucharyn zamienił z Gidem parę słów, niezwłocznie odciągnął go na stronę. Ani Gide, ani

Herbart nie słyszeli, oczywiście, tego, co Kolcow mu powiedział. Faktem jest wszakże, iż Gide podczas całego pobytu w Moskwie Bucharyna więcej nie oglądał. „Bez tej drobnej wskazówki — pisze Gide — mógłbym snuć przypuszczenia co do obojętności lub niedbalstwa Bucharyna; mógłbym się domyślać, że, ostatecznie, nie zależało mu tak bardzo na zobaczeniu się ze mną. Nie pomyślałbym nigdy, że zobaczyć się *nie mógł*”.

Na próżno takich, jak się okazało, uzasadnionych aktów oględności w stosunku do scen i faktów życia sowieckiego szukalibyśmy w książce sławnego emigranta niemieckiego. Feuchtwanger nie wspomina nawet, czy chciał widzieć kogokolwiek lub cokolwiek poza tym, co mu pokazano. On zobaczył Stalina, z którym długą miał rozmowę na Kremlu, i — to mu wystarczyło. To wszystko, co w jego relacji znajdujemy poza tą rozmową, stanowi jedynie jakby ramy do niej, jakby wstęp, mający czytelnika nastroić na właściwy ton. Gdy u Gide'a zarówno w jednej, jak w drugiej jego książce, mamy rozległą osnovę utkaną z rozmaitych wątków i spojrzeń, Feuchtwanger daje w zasadzie jeden tylko skoncentrowany wątek, jedno skupione spojrzenie: od strony Kremlu.

Spojrzenie to, oczywiście, ma swoją wagę bez względu na swą jednostronność. Słowa władcy, rządzącego państwem, rozpostartym na szóstej części globu, interesują zarówno w tym, co mówią, jak i w tym, co przemilczają. W danym razie interesują nas one także i z uwagi na pośrednika, przez którego mówią. Nie jest rzeczą obojętną, że Stalin, aby przeciwdziałać wrażeniu, wywartemu przez Gide'a, zwrócił się do Feuchtwangera. A więc pominął sztab swych pisarzy reżymowych, gotowych przecież do usług na każde wezwanie dyktatora. Pominął głośniki swego najpotężniejszego w świecie instrumentu propagandy. Pominął to wszystko, co dać mu mogła władza organizacji i — chcąc być wysłuchanym — odwołał się do pióra samotnego wygnańca.

Jest-to fakt, sam przez się, niesłychanie znaczący, pełen olbrzymiej treści. Świadczy on, że najpotężniejsza dyktatura ma swoje granice. Kończy się tam, gdzie zaczyna się wolna wymiana myśli wolnych ludzi.

Epoka.

André Gide: **André Gide dziwi się** Lion Feuchtwanger:

Ogłoszenie mego „Powrotu z Z.S.R.R.” przyniosło mi wiele obelg. Przykreść sprawiły mi obelgi Romain Rollanda. Nigdy zbytnio nie podobały mi się jego pisma; wysoko przecież cenilem jego osobistość moralną. Stąd płynie mój smutek: jak rzadko spotyka się ludzi, którzy dochodzą kresu życia, nie ukazawszy skraju swej wielkości. Myślę, że autor „Ponad zawieruchą” surowo by osądził dzisiejszego Rollanda. Ten stary orzeł uwił sobie gniazdo; odpoczywa w nim.

Obok tych, którzy łąją, kilku krytyków w dobrej wierze. Piszę, aby im odpowiedzieć.

Wśród nich Paul Nizan, tak zazwyczaj inteligentny, stawia mi dziwny zarzut: że „maluję Unię Sowiecką jako świat, który przestał się zmieniać”. Ale gdzież on to dostrzegł? Wszak mówiłem, że Z.S.R.R. zmienia się z miesiąca na miesiąc. I to właśnie mnie przeraża, gdyż z miesiąca na miesiąc stan Z.S.R.R. się pogarsza. Oddala się on coraz bardziej od tego, czym mieć go chcieliśmy — i chcielibyśmy.

André Gide dziwi się, a wraz z nim dziwi się i wielu innych, widząc w Unii Sowieckiej nierówność dochodu między ludźmi. Mnie, jeśli coś zdumiewa, to jego zdziwienie. Mnie wydaje się rzeczą najzupełniej słuszną, że Unia wprowadza w życie zasadę socjalistyczną: „Każdemu wedle wyników jego pracy”, dopóki nie zdola urzeczywistnić ideału komunistycznego: „Każdemu wedle jego potrzeb”. Sądzę, że w budowie socjalizmu chodzi nie o podział ubóstwa, lecz o podział bogactw. Ale jakże osiągniemy stan, w którym będzie można dzielić bogactwa, jeśli tym, od których oczekujemy wielkich rezultatów, narzucimy życie tak nędzne, że ono osiągnięcie tych rezultatów udaremni? Pojęcie, że obywatele państwa socjalistycznego, dopóki wszyscy nie osiągną dostatku, skazani być mają bez wyjątku na biedę wspólną a przynajmniej na wspólną skromną stopę życia, wydaje mi się atawistycznym osadem wyobrażeń starochrześcijańskich, osadem raczej pobożnym, niż rozumnym.

Przedstawiciele podobnych wyobrażeń przypominają mi jednego z moich krewnych, starszego bawarskiego urzędnika

Pogląd powierzchowny, sąd zbyt nagły: — powiedziano o mojej książce. Jak gdyby to właśnie co nas w Unii Sowieckiej czarowało, nie było pierwszym wrażeniem! Jak gdyby wzrok nie odślaniał rzeczy coraz gorszych w miarę przenikania w głąb!

Robak kryje się właśnie w głębi owocu. Lecz gdy oznajmiłem wam: to jabłko jest robaczywe, oskarżyliście mnie, że nie widzę jasno, lub że nie lubię jabłek.

**

Jeden z zarzutów najbardziej uzasadnionych, jakie stawiano memu „Powrotowi z Z.S.R.R.”, polega na tym, że przywiązałem jakoby zbyt wielką wagę do spraw intelektualnych, gdy tymczasem sprawy te należałoby odsuwać na plan dalszy, dopóki nie zostaną rozwiązane zagadnienia bardziej naglące. Wiąże się z tym zarzutem i to, że uznałem za konieczne odtworzyć w swej książce kilka przemówień, które zdarzyło mi się wygłosić tam i co do których wywiązał się spór. W skróconej książce przemówienia te zajęły zbyt wiele miejsca i uwagi. Pochodzą one, na domiar, z początkowego okresu mej podróży, z czasu, w którym wierzyłem jeszcze (tak, byłem tak naiwny), że można w Z.S.R.R. poważnie mówić o kulturze i szczerze dyskutować; z czasu, gdy nie wiedziałem jeszcze, jak dalece kwestia społeczna pozostawała w zaniedbanii i poniewierce.

Mimo to wszakże protestuję przeciwko zdaniu tych, którzy w tym, co pisałem, dostrzegli jedynie uroszczenia literata. Gdy mówiłem o wolności ducha, chodziło mi o rzeczy bynajmniej nie tylko literackie. Nauka również wyrodnije w pokłonach.

Ten oto słynny uczony wyrzeka się, pod przymusem, teorii, którą głosił, a która okazała się mało prawdziwa. Ten oto członek Akademii Nauk potępia swe „dawne błędy”, które — jak sam oświadcza publicznie — „mogłyby być spożytkowane przez faszyzm”. („Izwestia” 28.XII 1936). Przymusza się go do uznania za ściśle oskarżeń, rzuconych — na rozkaz — przez „Izwestia”, które w jego dociekaniach naukowych węższą niebezpieczne poszlaki „szału przeciwrewolucyjnego”.

Eisensteina powstrzymano w jego pracy. Musi on również uznać swe „błędy”, stwierdzić, że się pomylił i że nowy film, który przygotowuje od dwóch lat i na który wydano już dwa miliony rubli, nie odpowiada wymaganiom doktryny, że z tym słusznie go zakazano.

Gdy Stalin jest wzburzony...

André Gide:

A wymiar sprawiedliwości! Czyżby ostatnie procesy w Moskwie i Nowosybirsku miały wzbudzić we mnie żal, żem napisał owo zdanie, które was tak oburza: „Wątpię, czy w jakimkolwiek innym kraju, nie wyłączając Niemiec teraźniejszych, duch jest mniej wolny, bardziej przygięty do ziemi, bardziej bojaźliwy (steroryzowany) i uzależniony”?...

W Z.S.R.R. gdy chcą zgubić człowieka, zwracają się do jego najbliższego przyjaciela. I wcale nie proszą, żądają. Najlepiej utraci się człowieka wtenczas, gdy zmusi się go do wyparcia się siebie. Chodzi także o to, aby go się wyparli jego przyjaciele; i aby dostarczyli przeciw niemu dowodów. Tak więc na Zinowiewa, Kamieniewa i Smirnowa poszczuto ich wczorajszych przyjaciół — Piatakowa i Radka; należało na-przód poszargać tych, których się postanowiło rozstrzelać.

administracji, który podczas wojny światowej sypiał na gołej ziemi, ponieważ miliony ludzi w okopach nie miało pościeli.

Obawa, że nierówność uposażenia przywrócić może do życia klasy, które zaledwo zostały zniszczone, wydaje mi się płonna. Podstawowa zasada społeczności bezklasowej polega na tym, że każdy od urodzenia otrzymuje równe możliwości wykształcenia i zajęcia stanowiska; tak, że każdy ma pewność rozwinięcia i spożytkowania swych zdolności. Ta zaś zasada — czego nie podaje w wątpliwość najostrożniejszy przeciwnik rządów sowieckich — znalazła w Z.S.R.R. pełne zastosowanie...

...Nigdzie w Moskwie nie spotkałem serwilizmu. Słowo „towarzysz” nie jest pustym dźwiękiem. Towarzysz mularz, wychodzący z tunelu kolejki podziemnej, czuje się naprawdę równy z towarzyszem komisarzem ludowym. Na zachodzie, o ile wiem, synowie chłopów i robotników, którym udało się odbyć studia wyższe, podkreślają to swoje wyniesienie się w górę i starają się wyodrębnić od swych dawnych towarzyszy klasowych. W Unii Sowieckiej inteligencja chłopska i proletariacka utrzymuje jak najściślejszą styczność z pracownikami, z których łona wyszła.

Film ma tam jeszcze większe środki do rozporządzenia, niż teatr. Reżyser filmowy ma prawo eksperymentować bez względu na koszty. Jak bardzo taki trud i nakład się opłaca, widziałem na filmach bądź już gotowych, bądź dopiero wykańczanych przez Reismanna, Roszala a nade wszystko przez Eisensteina, który pracował nad wspaniałym poetyckim filmem „Bieżyn Ług”, arcydziełem, pełnym wewnętrznego, uprawnionego patriotyzmu sowieckiego.

Lion Feuchtwanger:

Wzburzenie ogarnęło Stalina, gdyśmy mówili o procesie trockistów.

Wyłożył mi on obszernie zarzuty, obarczające Piatakowa i Radka, zarzuty, których treść podówczas nie była jeszcze znana. Mówił o panice, w jaką niebezpieczeństwo faszystowskie wtrąca ludzi, nie umiejących myśleć do dna. Ja wskazałem raz jeszcze na przykre wrażenie, jakie zagranicą wywarła zbyt uproszczona procedura w sprawie Zinowiewa i jego grupy, — nawet wśród kół zycielich Unii Sowieckiej. Stalin jął żartować z ludzi, którzy żądają wielu dokumentów na piśmie, nim raczą uwierzyć w istnienie spisku. „Szczeni spiskowcy — rzekł — rzadko kiedy puszczają swe dokumenty w obieg”. Na koniec z goryczą i gniewem mówił o Radku, publicyście, najpopularniejszym z pośród oskarżonych w drugim procesie trockistów. Opowiedział o swych stosunkach przyjacielskich z tym człowiekiem. „Wy Żydzi — mówił — stworzyliście pewną wieczną prawdziwą legendę, legendę o Judaszu”, — i dziwną wydało mi się rzeczą, że tak zazwyczaj trzeźwy i logiczny człowiek użył tych prostych i patetycznych słów. Opowiedział o długim liście, który napisał doń Radek i w którym tenże za pomocą wielu złych argumentów zapewniał o swej niewinności. Następnego dnia, pod naciskiem świadków i dowodów, przyznał się do tego, czemu tak wymownie przeczył.

Likwidacja analfabetyzmu

André Gide:

To prawda: podróżny spotyka w Z.S.R.R. mnóstwo młodych ludzi żądnych wiedzy, kultury. Nic bardziej wzruszającego, niż ta ich poażliwość. I każą nam na każdym kroku podziwiać środki ofiarowane do ich dyspozycji. Z całego serca pochwalamy zalecenie rządu, które, w lutym 1936, przewidywało „zupelną likwidację analfabetyzmu w ciągu bieżącego roku szkolnego 36-37 wśród pozostałych 4 milionów pracowników, nie umiejących czytać, ni pisać, oraz 2 milionów, posiadających umiejętność tę w stopniu niedostatecznym”. Tak, ale...

O „likwidacji analfabetyzmu” była już mowa w r. 1923. Przeprowadzenie tej likwidacji — jak mówiono: „historycznej” — miało zbiec się w czasie z obchodem dziesiątej rocznicy Rewolucji Październikowej (1927). Otóż, w r. 1924, Łunaczarski otwarcie mówił już o „katastrofie”. Do życia udało się powołać zaledwie 50 tys. szkół elementarnych, gdy tymczasem pod rządami caratu liczono szkół 62 tys. dla liczby dzieci o wiele mniejszej.

W r. 1927, w terminie ustalonym dla ukończenia likwidacji, analfabetyzm trwa nadal, a 2 września 1928 „Prawda” stwierdza jego „stabilizację”.

Lecz od owej pory, przynajmniej, czy dokonano jakiegoś postępu?

Czytamy „Izwestia” z dn. 16.XI 1936: „Od początku nowego roku szkolnego wiele szkół nadesłało nam wykazy co do zdumiewającego analfabetyzmu uczniów”...

...Jeśli sławetna likwidacja analfabetyzmu, tak wychwalana, opóźnia się bez końca, to dzieje się to również i dlatego, że nieszczęśliwi nauczyciele, pracownicy odosobnieni, nie zawsze otrzymują swe mizerne uposażenie i, aby żyć, zmuszeni bywają imać się, poza szkołą, rozmaitych zatrudnień...

Czemuż tego nie powiedzieć?

André Gide:

Tak, jechałem z wiarą, z zaufaniem. To też to, co mnie tam zraziło, to nie była niedoskonałość; był to fakt, że tam właśnie odnajdywałem prerogatywy, od których pragnąłem uciec; przywileje, o których mniemałem, że były zniesione. Oczywiście, uważałem za rzecz naturalną, że starano się przyjąć gościa jak najlepiej, przedstawić mu wszystko od najlepszej strony. Lecz co mnie dziwiło, to odległość, dzieląca owo najlepsze od zwykłego; zdumiewał mnie przywilej tak wybujały obok normy pospolitej tak miernej lub tak lichy.

Jest to być może szczególny rys mej umysłowości i jej protestanckiego ukształcenia: nie mam zaufania do idei, przynoszących zysk, do poglądów „korzystnych”: to jest takich, z których ten, co je głosi, spodziewa się osiągnąć dochód.

I nie oskarżając rządu sowieckiego o próbę korupcji, widzę, do pioruna! doskonale tę korzyść, jaką może on osiągać, tak pięknie stanowiska zapewniając artystom i literatom i tym wszystkim, którzy potrafią opiewać jego chwałę. A jednocześnie widzę aż nadto korzyść, jaką może znajdować literat, wychwalający rząd oraz konstytucję, która faworyzuje go tak wybitnie. Dlatego też odrazu postanowiłem być ostrożny. Lękam się, by mnie nie uwiedziono. Nadzwyczajne dobrodziejstwa, którymi mnie raczą, nabawiają mnie strachu. Nie po to wybrałem się do Unii Sowieckiej, aby opływać w przywileje. A tymczasem te, którymi mnie ugoszczono, były niesłychane.

I czemuż nie miałbym o tym powiedzieć?

Dienniki moskiewskie oznajmiły mi, że w ciągu kilku

Lion Feuchtwanger:

Należałoby raz wreszcie skończyć z bajką o gnuśności Rosjan. Naród, który dwadzieścia lat temu poniewierał się w nędzy, niechlujstwie i ciemności, rozporządza dziś wysoko rozwiniętym przemysłem, zrjonalizowaną gospodarką rolną, pokaźną liczbę nowych lub gruntownie odnowionych miast i całkowicie zlikwidował analfabetyzm.

Czyż jest do pomyślenia, aby takich czynów dokonali mogli ludzie z natury leniwi i gnuśni? Dajmy na to, że Unia Sowiecka miała szczęście znaleźć wodzów o niebywałym talencie: ale gdyby nawet wszyscy geniusze, których wydała ludzkość od wieków, skupili się w Moskwie na przestrzeni dwóch ostatnich dziesięcioleci, czyżby zdołali z narodu zleniwiałego wydobyć tak olbrzymie nakłady energii?

Cóż dziwnego, że chłopcy i robotnicy, dopóki byli ze skóry obdzierani przez chciwych przedsiębiorców i wielkich ziemian odczuwali pracę, jak nienawistny ciężar, i musieli być do niej przymuszani? Stosunek ich do pracy zmienił się gruntownie, odkąd widzą, że sami spożywać mogą jej owoce.

Co do Unii Sowieckiej, to jestem przekonany, że przebyła już ona wielką część drogi ku demokracji socjalistycznej. Faktem jest, że środki wytwórczości są tam w posiadaniu nie jednostek prywatnych, lecz ludu. Faktem jest dalej, że gdy demokracje kapitalistyczne swą gadaniną rozbrojenową i wyrozumiałością ośmielają państwa faszystowskie do coraz nowych aktów przemocy, Unia Sowiecka — i ona jedna — dzięki planowemu wzmoczeniu swej siły zbrojnej powstrzymała faszyzm od wszczęcia wojny ze źle uzbrojonym światem. Wodzowie Unii Sowieckiej nie tylko więc mają słuszość, gdy z pewną ironią podkreślają, że jedynie ich „niedemokratyczne zarządzenia” ocaliły byt zachodnio-europejskich demokracji: również i faktycznie stworzyli oni „demokrację” o tyle, o ile środki wytwórczości przekazali w posiadanie ogółu i wykuli potężny oręż, mogący ten stan posiadania zabezpieczyć.

Lion Feuchtwanger:

Uczonym, pisarzom, artystom i aktorom w Z.R.S.S. powodzi się świetnie. Nietylko są oni przez państwo cenienni i pielęgnowani; nietylko zapewniony mają szacunek i pokaźny dochód; otrzymują wszelkie pomoce, jakich zawód ich wymaga; wolni są od troski, czy to, co robią, da im środki utrzymania. Ponad to wszystko mają oni jeszcze najwrażliwszą w świecie publiczność.

O głodzie czytelnictwa, panującym w Z.S.R.R., niełatwo dać wyobrażenie mieszkańcowi Zachodu. Dzienniki, czasopisma, książki bywają pochłaniane, przyczym pęd do lektury nie słabnie...

...Książki ulubionych autorów drukuje się tam w nakładach, których wysokość jest oszałamiająca. Dzieła Puszkina w r. 1936 rozpowszechniono w liczbie 31 milionów egzemplarzy; w jeszcze wyższych nakładach książki Marxa i Lenina. Jedynie brak papieru kładzie tamę bicia nakładów popularnego autora w coraz większej liczbie. W zwykłym dniu książki takiego autora niepodobna dostać w żadnej księgarni i w żadnej bibliotece. Gdy ukazuje się nowe wydanie, przed ladą księgarni stoją sznury nabywców. Wydanie, liczące 20, 50 lub nawet 100 tys. egzemplarzy bywa rozchwywane w ciągu kilku godzin. W wypożyczalniach książek — a jest ich ogółem 70.000 — należy książki ulubionych autorów zamawiać na całe tygodnie naprzód...

Jakaż to radość dla pisarza, gdy wie, że książki jego wędrowały do bibliotek tej młodzieży sowieckiej. We wszystkich niemal krajach spotkać można pasjonujących się lekturą

miesiący rozprzedano ponad 400.000 egzemplarzy moich książek. Proszę obliczyć odsetki na mocy praw autorskich. A także honoraria za artykuły, tak hojnie wynagradzane! Gdybym napisał o Z.S.R.R. i o Stalinie pieśń pochwalną, co za fortuna!

Rozważania te nie wstrzymałyby mej pochwały; ale nie zapobiegła też i moim uwagom krytycznym. Wszelako przyznaję, że niezwykle uprzywilejowana (bardziej, niż gdziekolwiek indziej w Europie) sytuacja, zapewniana ludziom pióra, byle tylko pisali w duchu nakazanym, nie mało przyczyniła się do otwarcia mi oczu. Z pośród wszystkich robotników i pracowników Unii Sowieckiej literaci są najbardziej faworyzowani. Dwaj z moich towarzyszków podróży (każdy miał przekład swej książki pod prasą) biegali po magazynach starożytności, sklepach z klejnotami i przekupniach, nie wiedząc, na co wydać te kilkanaście tysięcy rubli, które otrzymali, jako zaliczkę honorariów, a których nie mogli wywieźć za granicę. Co do mnie, zdołałem zaledwie napocząć olbrzymiej rezerwy, gdyż wszystko mi tam zaofiarowano. Tak jest, wszystko: od podróży samej, aż do ostatniej paczki papierosów. Ilekroć dobywałem portfel, aby uregulować rachunek w restauracji lub hotelu, aby opłacić jakiś sprawunek, nabyć znaczki pocztowe lub dziennik, powstrzymywał mnie ujmujący uśmiech i władczy gest naszego przewodnika: „Pan żartuje! Pan jest naszym gościem i wraz z panem pięciu pańskich towarzyszków”.

I rzeczywiście, w toku całej podróży w Z.S.R.R. nie miałem najmniejszego powodu do skargi. Ze wszystkich złośliwych wyjaśnień, które zmyślono, aby poderwać moją krytykę, najmniej szkodliwe było to, które próbowało złożyć ją na karb moich niezadowolonych osobistych. Nigdy jeszcze nie podróżowałem w warunkach takiego przepychu. W wagonie specjalnym lub w najlepszych samochodach; pokoje zawsze najlepsze w najlepszych hotelach; jadło jak najobfitsze i najbardziej wyszukane. I co za przyjęcie! Jakie wygody! Jakie honory! Wszędzie byłem witany uroczyście; wszędzie mi schlebiano; wszędzie mnie pieszczono i fetowano. Nic, aby mnie ugościć, nie wydawało się zbyt dobre, zbyt wykwintne. Nieuprzejmością z mej strony byłoby te wszystkie gościnności odtrącać; odtrącać ich nie mogłem; i zachowuję o nich czarowne wspomnienie, żywą wdzięczność. Ale te fawory właśnie przypominały mi o przywilejach, o różnicach, istniejących w kraju, gdzie spodziewałem się znaleźć równość.

Cóż pan chcesz? Demokracja oznacza władztwo ludu

André Gide:

Gdy z trudem uciekając od przyjęć urzędowych, od nadzoru, wchodziłem w rozmowę z robotnikami, których zarobek dzienny nie przekracza czterech lub pięciu rubli, coż myśleć miałem o wydawanym na cześć moją bankiecie, od którego nie mogłem się uchylić? O bankiecie, niemal codziennym, w którym już obfitość zakąsek była taka, że się było potrzyknąć sytuacją, nim się zasiadło do właściwej uczty; uczty, złożonej z sześciu dań, a trwającej ponad dwie godziny i doprowadzającej gościa do zupełnego obezwładnienia! Ileż to musi kosztować! Nie mając nigdy możliwości spojrzenia na rachunek, nie zdołałem ustalić jego wysokości. Lecz jeden z moich towarzyszków podróży, zorientowany w cenach, sądzi, że każdy taki bankiet kosztować musiał więcej niż po trzysta rubli na głowę, nie licząc likierów i win. Otóż, było nas sześciu kolegów; jako siódmy towarzyszył nam nasz przewodnik; do stołu zaś, wraz z nami, zasiadało drugie tyle, a niekiedy i więcej osób zaproszonych.

Podczas całej podróży byliśmy, właściwie mówiąc, gośćmi nie rządu, lecz bogatego Związku Pisarzy Sowieckich. Gdy myślę o kosztach, które Związek ów dla nas poniósł, wątpię, czy złota żyła moich praw autorskich, które mu przekazałem, wystarczą na ich pokrycie.

czytelników, którzy zadają autorowi żadne wiedzy pytania. Na ogół wszakże w krajach kapitalistycznych czytanie książek bywa tylko szlachetną formą spędzania czasu, zbytkiem. Dla czytelnika natomiast sowieckiego nie istnieje żadna, zda się, granica między jego rzeczywistością, a światem jego książek. Obecnie on z postaciami swych książek jak z osobami swego rzeczywistego otoczenia, ściera się z nimi i sprzecza, widzi świat realny w zdarzeniach książki i w jej postaciach. Wielekroć miałem sposobność dyskutować o swych książkach w fabrycznych zespołach czytelniczych. Byli tam inżynierowie, robotnicy, pracownicy biurowi. Zнали oni dokładnie moje powieści, dokładniej, niż ja sam. Nie łatwo było dotrzymać im pola w rozprawie. Osaczali oni autora, ci młodzi umysłowcy chłopscy i robotniczy, nieoczekiwanymi pytaniami; stanowiska swego bronili z umiarem, lecz stanowczo i uparcie. Nie pozwalają oni autorowi chować głowę za kanonami estetyki, za frazesem o technice literackiej i swobodzie poetyckiej. On swych ludzi stworzył, on jest za nich odpowiedzialny; i jeśli na uprzejme lecz wyraźne zarzuty i wątpliwości swych młodych czytelników daje odpowiedzi połowiczne, natychmiast czuje ich niezadowolenie. Jakże pouczająca jest rzeczą spędzić choć godzinę w takim audytorium!

Tak, od tej młodzi sowieckiej bije zaraźliwe poczucie siły i szczęścia. Na twarzach jej widać ufność obywateli sowieckich we własną przyszłość; ową ufność, która pozwala im przezyciężać niedobory teraźniejszości.

Lion Feuchtwanger:

Cóż pan chcesz? — rzekł do mnie półzartem pewien filolog sowiecki. — Demokracja oznacza władztwo ludu; dyktatura — władztwo jednego człowieka. Skoro wszakże ów jeden człowiek tak doskonale cały naród przedstawia, jak to u nas się dzieje, to czyż demokracja nie pokrywa się z dyktaturą?

Ten żart wyrasta z bardzo poważnego podłoża. Cześć dla Stalina, bezgraniczny kult, jakim otacza go ludność, to — pierwsze wrażenie, uderzające każdego, kto podróżuje po Z.S.R.R. Na wszystkich rogach ulic i placach, w miejscach stosownych i niestosownych, widzi się kolosalne popiersia i portrety Stalina. Mowy, które zdarza się słyszeć, nietylko polityczne, ale także odczyty na najrozmaitsze tematy artystyczne i naukowe, upstrzone bywają pochwałami dla Stalina, częstokroć zaś ubóstwianie tego władcy przybiera formy niesmaczne...

Nie ulega kwestii, że to nadmierne czcicielstwo jest w większości wypadków szczerze. Ludzie czują potrzebę wyrazić swą wdzięczność, swój niezmierny podziw... Lud mówi: Stalin, a ma na myśli wzrastającą pomysłowość kraju, wzrastającą oświatę. Lud mówi: kochamy Stalina, a w słowach tych wyraża swą prostoduszną, naturalną zgodę na stosunki gospodarcze, na socjalizm, na panujący ustrój.

Najwidoczniej brano w rachubę inną rekompensatę tak hojnej gościny. I sędzę, że część urazy, jaką powzięła przeciw mnie „Prawda” z tego płynie zawodu: okazałem się niedość „zyskowy”.

Zapewniam was, że w mojej przygodzie sowieckiej jest coś tragicznego. Przybyłem tam, jako entuzjasta; jako człowiek przekonany; jako ten, który pragnie podziwiać świat nowy, a tymczasem, aby mnie uwieść, otaczano mnie przywilejami, które zmienawidziłem w starym.

Dla wydziedziczonych — opium

André Gide:

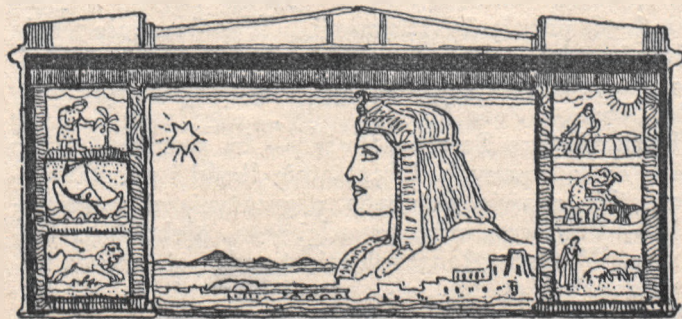
Robotnik sowiecki jest przytroczony do swej fabryki, jak pracownik wiejski do swego kołchozu lub do swego sowchozu, jak Ixion do swego koła. Gdy z jakiegokolwiek powodu pragnąc urządzić się nieco lepiej (t. j. mniej źle) gdzieindziej, chce zmienić miejsce pracy, niechaj się strzeże! Jest on tak zaklasyfikowany, ujęty w karby i skneblowany, że może nigdzie nie być przyjęty. Nawet, gdy opuszczając fabrykę, nie zmienia miasta, traci mieszkanie (zresztą, nie bezpłatne) tak trudne do zdobycia; odchodząc, traci również pokązną część swego zarobku; gdy jest człowiekiem „kołchozu”, pozostawia na miejscu cały dochód swej skolektywizowanej pracy. Naodwrot, pracownik, któremu wyznaczono miejsce pracy, nie może się od niej uchylić. Nie przysługuje mu swoboda pójścia, dokądby chciał; wyboru miejsca, które sobie uwodobał, do którego być może, przywołuje go miłość lub przyjaźń.

Gdy nie należy do partii, towarzysze zepchną go na szary koniec. Wstąpienie do partii, uzyskanie legitymacji partyjnej (co nie jest rzeczą łatwą i wymaga, poza wiedzą osobną, nieskazitelną prawomyślności oraz giętkich uzdolnień do schlebienia władzom) bywa pierwszym i nieodzownym warunkiem powodzenia.

Gdy się raz wstąpiło do partii, nie ma już możliwości wyjścia z niej bez natychmiastowego postradania swej sytuacji, swego stanowiska, swej posady oraz wszystkich korzyści, nabytych poprzednią pracą; bez jednoczesnego wystawienia się na represję oraz podejrzenia ze wszech stron. Bo i pocóż opuszczać Partię, w której było tak dobrze? która daje swym członkom takie korzyści! a wzamian żąda jedynie zgody na wszystko i niemyślenia własną głową. Pocóż zresztą zdobywać się na wysiłek myślenia (i to własną głową!) skoro się orzekło, że wszystko jest dobrze? Myśleć własną głową — to tyleż, co stać się „kontr-rewolucjonistą”. I już jest się dojrzałym dla Syberii.

Wtenczas, ta nieszczęsna, ścigana istota — jaką staje się robotnik sowiecki z chwilą, gdy stanie poza szeregiem uprzywilejowanych — zgłodniały, znękany, zaszczyty, nie mający odwagi protestować a nawet głośno się poskarżyć, czyż może nas dziwić, że z powrotem wynajduje Boga i szuka ulgi w modlitwie? Do jakichże ośrodków ludzkich może się odwołać?...

Gdy czytamy, że podczas ostatnich dorocznych nabożeństw kościoły były przepelnione, nie ma w tym nic zdumiewającego. Dla wydziedziczonych — „opium”.



Lion Feuchtwanger:

Gdy byłem przez Stalina przyjęty na Kremlu, wspominałem o tych formach przesadnych i niesmacznych, jakie przybiera kult jego osoby. On wzruszył ramionami. „Trzeba — rzekł — wybaczyć chłopom i robotnikom, którzy zbyt wiele mają do roboty, aby się ponadto troszczyć o efekty dobrego smaku”. Podrwiwał zaś zlekka, gdy mówił o setkach tysięcy wyolbrzymionych wizerunków człowieka z wąsami, które stroszą się nad podczas demonstracji. Zwróciłem mu uwagę, że biusty i portrety Stalina (i jakiel) wystawiają nawet ludzie o niewątpliwym smaku, i to w miejscach jak najmniej odpowiednich, na przykład — na wystawie Rembrandta. Dyktator nagle robi się poważny. Domyśla się, że poza tego rodzaju wybujałościami kryje się gorliwość tych, którzy zbyt późno opowiedzieli się za reżymem i teraz pragną wierność swoją udowodnić zdwojoną czolobitnością. Tak, uważa on nawet za możliwe, że kryje się w tym tylko zamiar szkodliwców (wreditieli!), którzy w ten sposób chcą go ośmieszyć. „Serwilistyczny głupiec — powiada cierpko — gorszy bywa od stu nieprzyjaciół”.

Intelektualiści hiszpańscy a rebelia

Nie można już mieć dziś wątpliwości, która ze stron walczących na półwyspie iberyjskim reprezentuje zacofanie i barbarię. Wyjaśnili nam to przede wszystkim ci, którzy stanowią prawdziwą elitę duchową Hiszpanii: uczeni, profesorowie, pisarze, poeci, publicyści, prawnicy, plastycy, muzycy, przedstawiciele medycyny. Kwestia stosunku intelektualistów hiszpańskich do rebelii nie jest zbyt skomplikowana. Istnieje wśród nich niewielka tylko grupa tych, którzy pragną uciec od rzeczywistości i... odpowiedzialności. Usiłują oni — wciąż jeszcze! — pozostać „apolityczni”, „niezawisli”, „neutralni”...

Po stronie faszystów nie opowiedział się dostojnie nikt z żyjących intelektualistów Hiszpanii. Rząd walenccki znalazł natomiast moralne i efektywne poparcie olbrzymiej większości ludzi nauki, sztuki i literatury swego kraju. Prawdę tę usiłował kwestionować częściowo dr. Maranon. Nie miejsce tu na omówienie jego znanego wywiadu w „Petit Parisien”. Odpowiedział mu wyczerpująco José Bergamin w „Vendredi” z 19 marca b. r. Odpowiedzieli w specjalnym manifestie intelektualiści, pozostający w Hiszpanii. Czytamy tam, że ci z reprezentantów kultury hiszpańskiej, „którym prawowity rząd... z ważnych przyczyn pozwolił opuścić kraj... potrafią zdać sprawę dr. Maranonowi, dlaczego znajdują się w Paryżu, a nade wszystko dlaczego nie znajdują się w Burgos”.

Ludzie, których nazwiska znane są daleko poza półwyspem iberyjskim, pozostali naogół w ojczyźnie,

aby wziąć świadomy udział w tragicznych zmaganiach, jakie na jej ziemiach się rozgrywają. Pozostał czcigodny, siedemdziesięcioletni Benavente, spadkobierca tradycji calderonowskich, autor wielu dramatów o rozgłosie europejskim. Jego to podpis znajduje się m. in. na cytowanym wyżej manifestie. Pozostał Ramon Enendez Pidal, prezes Hiszpańskiej Akademii Nauk, współpracujący z rządem Republiki. Pozostał największy z żyjących poetów Hiszpanii, Antonio Machado, który bierze udział w akcji literackiej i propagandowej na rzecz zwycięstwa demokracji. Pozostał znakomity filozof José Ortega y Gasset, którego pism zbiorowych drugie wydanie ukazało się niedawno — mimo koniunktury wojennej — na rynku hiszpańskim. Pozostał słynny powieściopisarz Azorin. Powrócił do ojczyzny — w chwili przełomu — wielki Picasso. Powrócił z trzykrotnej podróży — do Francji, Anglii i Belgii — prof. Bosch Gimpera, sława światowa w dziedzinie prahistorii i archeologii.

Zbyt długi i nużący byłby szereg nazwisk intelektualistów, którzy zdecydowanie stanęli po demokratycznej stronie frontu w tej potężnej rozgrywce, jaka dziś odbywa się na ziemiach Hiszpanii

W swej „Réponse au Dr. Maranon” José Bergamin wyliczył ich bardzo wiele. Stwierdzić trzeba, że walor jakościowy idzie tu w parze z momentem ilościowym. Co uderza poza tym, to fakt zaangażowania poważnej liczby intelektualistów do służby dyplomatycznej. Angel Ossorio y Galardo, najświetniejszy prawnik hiszpański, były prezydent Królewskiej Akademii Prawa, były przewodniczący madryckiej izby adwokackiej i minister, jest obecnie ambasadorem rządu walenckiego w Brukseli. Druga sława prawnicza Hiszpanii Fernando de los Rios zajmuje identyczną placówkę w Waszyngtonie. Świetny esaista Luis Araquistain jest ambasadorem w Paryżu. Najwybitniejszy — obok Bergamina — pisarz katolicki Hiszpanii José Maria Semprun y Gurrea reprezentuje swój kraj w La Haya. Minister pełnomocny w Pradze Luis Jimenez de Aona jest wybitnym prawnikiem podobnie jak prof. Mariano Ruiz-Funes, obecny chargé d'affaires w Warszawie, dawniej wykładowca na uniwersytecie w Murcii, b. minister sprawiedliwości i rolnictwa w rządach republikańskich. Dramaturg Cipriano Rivas Cherif reprezentuje Hiszpanię w Bernie.

Znany socjolog Julian Besteiro opowiedział się po stronie rządu. Podobnie postąpili: filozof José Gaos, filologowie — Damaso Alonso, Tomas Navarro Tomas, dramaturdzy — Alejandro Casona, Jacinto Grau, muzycy — Gustavo Pittaluga, Bartolome Perez Casas, bracia Rodolfo i Ernesto Halffter'owie. Najwybitniejsi rzeźbiarze Hiszpanii Vittorio Macho i Emiliano Barral zajęli identyczne stanowisko. Ten ostatni wyróżnił się niezwykłym poświęceniem przy ratowaniu dzieł sztuki z Illescas. Medycy: A. Mediñaveitia, M. Marquez, G. R. Lafora, J. M. Sacristan — są również po republikańskiej stronie frontu. Tak samo, światowej sławy malarz José Gutiérrez Solana. Tak samo poeta Juan Ramon Jimenez, zasłużony w dziele organizacji opieki nad dziećmi po poległych milicjantach.

Ale specjalnie głębokie, symptomatyczne znaczenie posiada fakt, że po stronie prawowitego rządu, po stronie demokracji, walczą młodzi i najmłodszy intelektualiści hiszpańscy. Walczą — niejedno-

krotnie z bronią w ręku. Walczą — na właściwych sobie odcinkach pracy kulturalnej. Nazwiska ich nie są otoczone jeszcze blaskiem rozgłosu. Ich bohaterstwo, ich poświęcenie nie znajduje w świecie takiego oddźwięku, jakiego jest godne. To oni — młoda elita Hiszpanii — pracują w „brygadach kulturalnych”, odrabiających wiekowe zaniechania feudalizmu na terenie oświaty. To oni wyznaczyli sobie jako swój najpierwszy cel likwidację analfabetyzmu w ojczyźnie. To oni docierają w swej pracy oświatowej i propagandowej aż do linii ognia. Tylko płomień powszechnego, najgorętszego entuzjazmu może dokonywać takich cudów, jak kontynuacja nauczania w okopach, jak akcja oświatowa wśród ludzi, którym każda chwila grozi niebezpieczeństwem śmierci. Hiszpania — do niedawna kraj, w którym blisko połowa obywateli była analfabetami — będzie się mogła szczycić kiedyś przed całym światem rezultatami osiągniętymi przez te niezwykle „brygady kulturalne”.

Na terenach, zajętych przez wojska ludowe, nie została również przerwana wytwórczość kulturalna w wysokim i najwyższym tego słowa znaczeniu, praca we wszystkich rejonach, do których sięgnąć może duch ludzki. Słynny już stał się walencki „Dom kultury” („Casa de la Cultura”), urządzony dla ludzi nauki i sztuki. Tu prowadzi swą pracę myśliciele, pisarze i artyści, którzy zmuszeni byli opuścić bombardowany Madryt. W Walencji też ukazują się obecnie najważniejsze czasopisma naukowe, literackie i artystyczne, jak „Hora de Espana” („Godzina Hiszpanii”), „Nueva Cultura”, „Madrid” i inne.

Najciekawsze z nich chyba, pierwsze z wymienionych, przynosi w każdym numerze kartę winiętową, z nowym zawsze rysunkiem, ale z tym samym niezmiennie napisem: „Ensayos, poesia, critica, al servicio de la causa popular” — „Essays, poezja, krytyka w służbie sprawy ludowej”. Stały się te słowa nieoficjalną dewizą wszystkiego, co w Hiszpanii robi się dziś na terenie kultury. Nie znaczy to, aby w jakikolwiek sposób kępowano wolność, inwencję, zakres badania czy pomysłowość twórczą. W majowym numerze „Hora de Espana” znajdujemy artykuł A. Ossorio y Gallardo p. t. „Obrona konserwatystów”, Max Aub pisze tamże o „Aktualności Cervantesa”, a Rafael Dieste o „Hiszpańkości Valle Inclan’a”.

„Hora de Espana” zasługuje wogóle na szczególną uwagę. Zewnętrznie przypomina nieco naszego „Skamandra” czy „Nową Kwadrygę”. Zaczęła ukazywać się od stycznia bieżącego roku. Przynosi w każdym miesięcznym zeszyte 80 — 100 stronic druku, wiele petitem. Zgrupowały się koło tego czasopisma wszystkie młode, żywe siły hiszpańskiego intelektu. Współpracuje z nim stale Antonio Machado. Współpracuje Rafael Alberti, najwybitniejszy — po zamordowaniu Federico Garcii Lorci — poeta młodego pokolenia Hiszpanii. Współpracuje cała plejada zdolnych poetów: Manuel Altolaguirre, Emilio Prados, Leon Felipe, Vicente Aleixandre, Concha Mendez, Jose Moreno Villa, Luis Cernuda, Rosa Chacel, Arturo Serrano Plaia — by wymienić tylko najbardziej znanych. Ich ostatnie liryki i poematy — wszystkie prawie związane z przeżyciami wojennymi — dźwięczą nutą prawdziwego, głębokiego tragizmu. W ogniu płonących miast rodzą się owoce nowej poezji hiszpańskiej i nowej hiszpańskiej plastyki; mówią o tym reprodukcje prac Antonio Rodri-

gues Luna'y, Arturo Souto, Ramon Gaya'i. „Historycznie — pisze krytyk *) — straszliwość wojny, jeśli wolno powiedzieć taki paradoks, staje się straszliwością pozytywną o tyle, o ile prowadzi do triumfu, do afirmacji ludu triumfującego nad negacją, nad faszyzmem“. A sztuka jest wyrazem tej afirmacji.

Co da się powiedzieć o stosunku rebeliantów do przedstawicieli hiszpańskiej nauki, sztuki i literatury?

Chyba to tylko, że hasło gen. Milana d'Astray: „Śmierć inteligencji!“ — nie pozostało w sferze... „pustej abstrakcji“.

Rebelianci dokonali bestialskiego mordy na osobie wielkiego poety, jakim był Federico Garcia Lorca. Ohydy tej zbrodni przeraził się nawet falangistowski organ „Unidad“ i odzęgnął się od współodpowiedzialności za zabójstwo człowieka, który był „chlubą narodu“.

Rebelianci rozstrzelali — mimo protestu m. in. katolickich intelektualistów francuskich — rektora uniwersytetu w Oviedo, Leopolda Alas'a.

Rebelianci zamordowali gubernatora La Coruny, profesora uniwersytetu madryckiego Perez Carbalo i jego żonę, współpracowniczkę biblioteki narodowej. Szczegóły tej ostatniej zbrodni podaje Arthur Koestler w książce „L'Espagne ensanglantée“ (str. 66 — 67).

Kiedy rebelia wybuchła w La Coruna, prof. Carbalo zebrał garść ludzi, wiernych prawowitemu rzą-

dowi i Republice, poczem zamknął się z nimi w gmachu prefektury. Wiele godzin trwało oblężenie. Wreszcie udało się faszystom zdobyć prowizoryczną twierdzą rządowców i pojąć ich przywódcę. Wkrótce potem prof. Perez Carbalo został rozstrzelany. Jego żona, znajdująca się w piątym miesiącu ciąży, doznała wstrząsu nerwowego.

Względy „religijne“ zabroniły zwycięskim falangistom dokonać bezpośredniej egzekucji na żonie bohaterskiego profesora. Zawieziono ją najpierw do szpitala i poddano strasznej operacji spędzenia płodu. Na noszach zaniesiono potem nieszczęśliwą na cmentarz. Tu zepchnięto ją do zawczasu przygotowanego dołu i rozstrzelano. Jeden z posługaczy szpitalnych, obecnych przy tej scenie, dostał ataku szału.

Takimi krwawymi śladami znaczą faszyzm swą drogę. Leży to już w immanentnych prawach każdego wstępnego społecznie ruchu, że niesie on ze sobą zniszczenie tych nawet wartości, które pozornie afirmuje. Kultura hiszpańska i jej żyjący przedstawiciele nie cieszą się szacunkiem narodowców z pod znaku generalissimusa Francesco Franco.

Nie można uważać za przypadek, że ludzie, którzy otwarli granice Hiszpani dla cudzoziemskiej inwazji, ogniem i mieczem tępią dziś wszystko, co ich kraj ma najlepszego i najświetlejszego.

Tak, jak nie stanowi przypadku, że głową państwa hiszpańskiego jest dziś Manuel Azana — pisarz równie może świetny, jak znakomity mąż stanu, którego tragizm losów obarczył najwyższą godnością w najcięższej godzinie jego ojczyzny.

Zygmunt Jarosz.

Fikcje i fałszywe rzekomego realizmu

W okresie historycznym niszczenia prawa w życiu społeczeństw i w stosunkach międzynarodowych, ogromnym powodzeniem cieszy się frazes o polityce realnej, albo nawet ściślej mówiąc, realistycznej. Ileż to panegiryków wypisano w pewnej części prasy na cześć realistycznej polityki kanclerza Hitlera, lub Mussoliniego. Ileż to razy wynoszono ich sukcesy polityczne, wynikające z trzeźwego praktycznego ujęcia zagadnień — w przeciwstawieniu do niepowodzeń wynikających z idealizmu, zbytelnego przytrzymywania się zasad, dogmatów. Tak często i tak dotkliwie poucza się ludzkość o „powodzeniach“, realistów, że w pewnych okresach niektórzy nawet niezainteresowani zaczynają wierzyć w ten swoisty realizm metody gwałtu i nieliczenia się z niczym, upatrując panaceum na wszystkie bolączki świata, swego rodzaju — kamień filozoficzny, eliksir życia w bezprawiu, uznanym za jedyną i skuteczną metodę działania w polityce zarówno międzynarodowej jak krajowej.

Kierownik państwa włoskiego szczególnie pyszni się swoim realizmem, powołując się na starożytne antedecencje pierwszego Rzymu. Przy każdej niemal okazji Duce włoski mówi do swoich kolegów europejskich: patrzcie i podziwiajcie, nie trzymam się żadnych idealnych zasad, rozważam rzeczy praktycznie, uderzam z całą siłą i osiągam wszystko, czego tylko chcę. To samo w nieco mniej zrozumiałej dla szerokiego świata formie głosi Hitler.

Stwierdźmy na przykładach, że owe reklamowane sukcesy realizmu dyktatur są fikcją i fałszem,

do których przyzwyczajono współczesność tak, iż gotowa jest brać je za rzeczywistość zresztą w większości wypadków ze strachu...

Ostatnio bardzo niedawno, w końcu lipca, w okresie nowego kryzysu, jednej z mających mir nieomal powszechny fikcji, tak zwanej nieinterwencji, Mussolini z łamów swojego organu, „Popolo d'Italia“ wygłosił jedną ze swych stałych alokucyj, w których chełpi się swoim realizmem, a drwi z fikcji idealistycznych państw demokratycznych.

Czyż Europie sążone jest zginać w całunie śmiertelnym swoich fikcyj? — pyta z emfazą, Duce.

A cóż to są za śmiertelne fikcje? Z artykułu okazuje się, że główna — to Liga Narodów, której wyrzekł się jej rodzic — Stany Zjednoczone. Z tej przyczyny wszego złego, jaką jest Liga, pochodzą dalsze części całuna śmierci Europy: nie uznanie podboju Abisynii i nie uznanie rebelii hiszpańskiej za rząd legalny. Włochy zerwały z fikcjami i dlatego są... szczęśliwe.

— Patrzcie na nas — mówi Mussolini — pójdźcie za naszym przykładem i Europa będzie zbawiona. Wasz domek z kart rozleci się, mój gmach realny — ostanie.

Rozległ się ten głos z Mediolanu akurat wówczas, kiedy lawina pułków japońskich, przez dłuższy czas powstrzymywana, ruszyła, by w imię walki z fikcją i w imię realizmu, zalać wielkie, ale niezupełnie w ładzie żyjące republikańskie państwo Środka, republikę chińską. Nowy dowód rzekomej skuteczności rzekomego realizmu politycznego.

Pójdźmy za wezwaniem Mussoliniego i rzućmy okiem na osiągnięcia „realistów”, na ich dzieła, poglądy, spojrzmy na tyle reklamowaną rzeczywistość zdobyczy faszystów we Włoszech, hitleryzmu w Niemczech, militarysty w Japonii.

Weźmy zagadnienie, którekolwiek z brzegu... Choćby tak aktualne ostatnio kościoła i państwa.

Na pozór zdawałoby się, że w tej dziedzinie Mussolini osiągnął wszystko: traktat laterański rozstrzygnął zagadnienia jak gdyby nierozwiązalne dotychczas... A tymczasem, jeżeli odrzucić fikcje i fałszywe propagandy, można wraz z historykiem Guglielmo Ferrero dojść po uważnym rozpatrzeniu wydarzeń, że nawet w tej dziedzinie faszyzm nie dokonał niczego stałego i trwałego.

Watykan po upadku rządów liberalnych we Włoszech nie miał innego wyjścia jak porozumienie się z dyktaturą. Ale przecież sytuacja, w której znajduje się obecnie Papiestwo nie może trwać wiecznie. Już w czasie wojny abisyńskiej zaszedł wypadek, gdy jeden z biskupów Włoch Północnych, zwrócił się do Watykanu o instrukcje w sprawie jednolitego stanowiska kleru wobec wojny, bo część duchowieństwa brała udział w akcji wojowniczej, część czyniła to półgębkiem, część milczała jak zaklęta. Wezwanie biskupa zostało bezskuteczne, gdyż Papież wiedział, że jego najtajniejsza nawet instrukcja będzie znana t. zw. OVRA, t. j. tajnej policji włoskiej. „Wszystko wydaje się spokojnie w Rzymie Papieża — pisze Ferrero — świat katolicki jak gdyby nie spostrzega położenia cięższego i bardziej bolesnego niż za czasów pontyfikatu Piusa VII. Ponieważ tron papieski zajmuje dotychczas Papież, który podpisał traktaty z 1928 r. Dopóki jest on przy życiu, będzie się ukrywało położenie, stworzone przez te traktaty dla Watykanu”. Ale gdy trzeba będzie znaleźć następcę dla obecnego Papieża, wówczas, jak wywodzi Ferrero, albo faszyzm przeprowadzi swojego kandydata, a wówczas w Watykanie dla świata zasiądzie kapelan faszyzmu, przypominając o czasach z XIV wieku, albowiem gdyby do tego nie doszło, pomiędzy Watykanem a faszyzmem wybuchnie głucha walka. A jak się ona rozwinie, trudno przewidzieć...

Bo przecież — pisze Ferrero — w jakich czasach żyjemy. W Rzymie istnieje państwo, które głosi przy każdej okazji swoją katolickość. W Paryżu państwo bezbożne, w tym znaczeniu, że pozwala swoim obywatelom swobodnie wznawać jaką chcą wiarę, lub nie wznawać żadnej. Podczas gdy państwo rzekomo katolickie jest w bardzo oziębłych stosunkach z państwem bez Boga, Stolica Apostolska zbliża się do państwa bezbożnego. Jest to paradoks jedynie pozorny. Państwo bez Boga jest liberalne, a państwo, które zwie się katolickim, nie jest ani katolickim ani liberalnym. Aby Watykan mógł być w stosunkach przyjaznych z państwem musi ono być albo na prawdę katolickie, albo conajmniej liberalne”.

Na tle tych rozważań Ferrero nabiera właściwej treści cała polemika prasowa i wszystkie złośliwo-cierpkie uwagi prasy hitlerowskiej i faszystowskiej z okazji wizyty kardynała Pacelliego w Lisieux we Francji.

Wniosek stąd jasny: zagadnienia stosunku kościoła do państwa, kapitałnego dla Włoch, ze stolicą w Rzymie, faszyzm nie rozstrzygnął.

Czy rozstrzygnął zagadnienie religijne — hitleryzm?

Zdaje się, że obszerniejsza odpowiedź na to pytanie jest zbyteczna. Prawdziwa wojna religijna, która toczy się w miastach, miasteczkach i wsiach całej III-ej Rzeszy zarówno w gminach katolickich, jak ewangelickich, popularność i laury bohaterstwa, które wieńczą w oczach mas — biskupów Faulhabera i Bertrama i pastora Niemoellera — dają odpowiedź na to pytanie.

Przejdźmy do innego kompleksu zagadnień — do życia społeczno-gospodarczego. Sięgnijmy do kroniki życia nowej Germanii i nowej Italii, ale nie spreparowanej przez wynaturzoną i zupełnie z niczym nie liczącą się propagandą, lecz do kroniki prawdziwej.

Z życia Włoch — parę notatek kronikarskich, zaczerpniętych z prasy zakordonowej. W porcie neapolitańskim wprowadzono nowe surowe przepisy policyjne, rozciągając je i na przystań handlową, aby nie dopuścić publiczności do obserwowania ekspedycji ochotników do Hiszpanii.

W miejscowościach Massa Carrara, Faenza, Mantua, Livorno, Spezzia, Ancona, na przedmieściach Mediolanu — Sesto Giovanni i innych partia faszystowska przedsięwzięła specjalne zarządzenia przeciw słuchaniu przez robotników audycji radiowych zagranicznych. Jednocześnie w wielu wymienionych ośrodkach robotniczych dochodzi do starć i zająć na tle walk o podwyżkę płac.

Sekretarz partii faszystowskiej w Aquila (prowincja Abruzzów) wydał rozkaz następujący: „Jeżeli traficie na jedną z tych bestyj, które odważają się przemówić choć słowo na rzecz hołoty z Walencji, zarżnijcie ją. Gdybyście mieli z tego powodu przykrości, dajcie mi znać, a ja to załatwię”.

Można przytoczyć długi spis miast i miasteczek fabrycznych, w których wraz z walką o „tajne radio” toczy się walka o poziom płac.

Tak samo brzmią jeszcze może donośniej relacje z życia Niemiec, poza urzędowymi sprawozdaniami z niezliczonej ilości kongresów i marszów, zarządzanych przez władzę partyjne.

Z zagłębia Saary kilka tysięcy „niepokornych” robotników przesiedlono na Śląsk, gdzie nie ma pracy. W Kilonii wydano marynarzom zakaz wchodzenia w kontakt z tłumem ulicznym, gdyż dochodziło tam do starć między szturmowcami a marynarzami i robotnikami. W Nadrenii przy robotach drogowych robotnicy wywalczyli strajkiem i masówką podniesienie głodowej płacy za godzinę z 62 do 65 fenigów.

Na wsi niemieckiej, wziętej w kleszcze 4-letniego planu Göringa, daje się we znaki władzom t. zw. stanu żywicielskiego — głucha nienawiść i... sabotaż. A jeżeli jeszcze gdzie przedostaną się nie sfałszowane liczby, to okazuje się ku zdumieniu rządzących III-ej Rzeszy, że za republiki wejmarskiej czyniono dla chłopów więcej niż obecnie. Np. z „Rocznika Statystycznego” wynikało, że w 1933-35 r. utworzono drobnych gospodarstw rolnych (z pomocą państwa) 13750 z obszarem 202.827 ha, a w 1930-32 — 25569 na obszarze 281.382 ha.

Z całą stanowczością można twierdzić, że żadnych zagadnień gospodarczych i społecznych, ani faszyzm, ani hitleryzm nie rozstrzygnęły, a cóż dopiero mówić o Japonii, gdzie miliony pracujących żyją garścią ryżu bez żadnych widoków na lepszą przyszłość następnych pokoleń.

Pozostają więc jako osiągnięcia realizmu antydemokratycznych ustrojów obszary obcych ziem za-

garniętych siłą zbrojną. Tysiące żołnierzy włoskich rozsianych po osadach Abisynii, fortyfikacje niemieckie w Maroko, czy na wyspach Kanaryjskich, lub Balearach, dziesiątki tysięcy żołnierzy japońskich rozrzuconych po miastach Chin. Oto jedyne wyniki t. zw. realizmu, obliczonego na krótką metę i prowadzącego do krwawego zamętu wojny.

A oto jeszcze jeden z wymownych przykładów fikcji fałszywego realizmu, przez rzeczywistość niedawno obalonej... Mamy na myśli sytuację polityczną Rumunii. Na tym miejscu zwracano na to uwagę jeszcze w numerze z dn. 20 lipca, kiedy opinia publiczna w Polsce była pod świeżym wrażeniem zjazdów polsko-rumuńskich, z których okazji nasi swojscy „realiści” oświetlali stan rzeczy w zaprzyjaźnionym państwie w sposób zgodny ze swoją polityką, ale sprzeczny z rzeczywistością. Pisała wówczas „Epoka”, powołując się na ukrywane przez źródła półurzędowe wyniki pierwszej serii wyborów samorządowych w Rumunii:

— To, co oczkuje do hitleryzmu, to, co urząda różnego rodzaju ekscesy na tle rasowym i popiera totalizm stanowi w liczbach wyniku wyborów mniejszość (Goga — Cuza — Jerzy Bratianu): rządzące centrum, chwycące się ostatnio ku prawicy traci głosy i poparcie, różne „Currentule”, „Neamul Romanesci”, obficie cytowane przez nasze półurzędówki, a serdeczną opieką Berlina, otoczone, tracą na wadze i wartości... Stwierdziła dalej „Epoka”, że sądząc z wyników wyborów, ewolucja polityczna w Rumunii zmierza w kierunku objęcia władzy przez opozycyjną demokrację — tsaranistów, partię narodowo-chłopską, z której głównym trzonem porozumie się z mniejszą lub większą łatwością chwiejna grupa Vaida-Voievod'a.

Dziś już wiemy z depeesz nie urzędowych agencji,

bo fakt ten przemilczały źródła urzędowe, że dalsze etapy wyborów potwierdziły całkowicie te przewidywania i że w ciągu września rząd pp. Tatarescu—Antonescu, wciągany z dużą łatwością w orbitę hitleryzmu, pod presją wyniku tych wyborów ustąpi, a miejsce jego zajmie rząd partii chłopskiej w sojuszu z grupą Vaida-Voievod'a i Junjan'a. Oczywiście, nie jest to jeszcze całkowite zwycięstwo demokracji w polityce wewnętrznej, gdyż grupa Vaida'y budzi pod tym względem zastrzeżenia, ale jest to niewątpliwe zerwanie z prohitlerowską polityką zagraniczną, z tendencją do zerwania lub osłabienia Małej Entente'y i etap przejściowy w drodze powrotnej do polityki Mikołaja Titulescu i Juliusza Maniu. Tak przysła fikcja o realnej polityce miłośników paktów bałkańskich, przeciwstawiających skuteczność i trwałość polityce bezpieczeństwa zbiorowego niemiekiej w Berlinie, Rzymie, Tokio i dla ich wassala w Burgos.

Fałszem i fikcją jest realizm polityki państw antydemokratycznych. Fałszem i fikcją są preparowane dla uzasadnienia tej polityki ideologie.

Słusznie powiedział niedawno przewodniczący Kortezów hiszpańskich Martines Barrio: „Dla osi Berlin — Rzym rzekome niebezpieczeństwo komunistyczne jest nową depeszą z Ems, wielki fałsz historyczny, który uzasadnić ma jej działanie w Afryce, na morzu Śródziemnym i w Pirenejach. Nie popełniam grzechu pychy, oświadczając, że moi ziomkowie walczą i umierają nie tylko za swoją wolność, ale i za wolność świata”.

Oto prawdziwy realizm. Tak samo realistami są walczący w obronie swej niezawisłości Chińczycy, takimi samymi realistami są idealisci frontów wolności i prawa we Włoszech i w III-iej Rzeszy.

St. Grostern.

Na bezdrożach prymitywu

Wychowani na romantyzmie, zawieszani przez lat z górą sto w próżni niebytu politycznego — nie mogliśmy mieć łatwego powrotu do wymarzonej, lecz twardej rzeczywistości życia niepodległego. Sen o szpadzie ustąpić musiał miejsca jawie dnia powszedniego, porywy ducha i poezja czynu — samemu czynowi, prozie działania i budowania rzeczywistości. Przez pięć pokoleń zakuty w więzy niewoli i pozbawiony niezawisłości, naród polski zdawał się mieć sądzoną rolę najmniej trzeźwego i wyrachowanego z pośród narodów, niepokrzywdzonych dziejowym losem.

Po odzyskaniu niepodległości nieodzwoną stała się nauka trzeźwości.

Naukę tę przyspieszył niespodziewanie kryzys powszechny. Oblicze gospodarstwa świata stało się wyraziste i nabrało ostrych rysów. Kryzys stał się dla najszerszych rzesz poglądową lekcją ekonomii i socjologii. W wynaturzonych i tym bardziej uderzających formach obnażył najdrażliwsze i najdonioślejsze problemy socjalne i gospodarcze. Najszersze warstwy zaczęły używać terminów i nazw, za-

strzeżonych dotąd tylko dla fachowców. Terminologia ekonomiczna cen, produkcji, spożycia, rynków zbytu, barier celnych, dewiz — zdobyła sobie obywatelstwo w mowie potocznej. A już najdosadniejszym przejawem owej nauki trzeźwego myślenia jest bodaj triumf cyfry. Wtargnęła ona na łamy prasy, dotychczas ukryta w ubogim kąciaku giełdowo-gospodarczym. Stała się bronią, nierzadko obosieczną, w walce o teorię o wytłumaczenie kryzysu. Stała się wykładnikiem postępującej lub ustępującej nędzy, argumentem w walce o metody przeciwkryzysowe, wskaźnikiem przemian. Ubiegłe dziesięciolecie zasługuje na miano renesansu statystyki.

W najzwięźlejszym, upraszczającym skrócie zarysowaliśmy daleką drogę, wiodącą od nastrojów romantyzmu do wymowy rzeczywistości, od języka poezji do języka kryzysowej ekonomii i cyfr.

Ten pobieżny siłą rzeczy schemat posłużyć ma nam za tło dla zjawiska, które jest potwierdzeniem i przekonywującą oznaką owej szybkiej nauki trzeźwego myślenia. Nauki, odbywanej przez nas

w przyspieszonym tempie po wiekowym letargu, który nie sprzyjał rozwojowi zmysłu rzeczywistości.

Zjawiskiem tym jest nieoczekiwana popularność i sukces, jaki osiągnął w Polsce podręcznik trzeźwego myślenia. Na takie bowiem miano zasługuje w pełni doroczne wydawnictwo Głównego Urzędu Statystycznego R. P. pod tytułem „Mały Rocznik Statystyczny”.

Zapoczątkowane w 1930 roku nakładem dwóch tysięcy egzemplarzy, wydawnictwo Rocznika osiągnęło w 1933 — nakład 8 tysięcy, w 1935 — trzydziestu ośmiu tysięcy, w roku ubiegłym — 65 tysięcy, a obecny, pierwszy nakład na rok 1937 wynosi 70.000 egzemplarzy!

Takie powodzenie — to jedna strona zjawiska, a jest również druga, gdy zważyć przeciętny u nas nakład wydawnictwa naukowego, za jakie uznać przeciętnie należy Rocznik. Otóż z danych tegoż Rocznika wynika, iż ów przeciętny nakład nie osiągnął w 1935 roku dwóch tysięcy egzemplarzy. Skoro zaś Rocznik osiągnął 70 tysięcy, jest to najlepszym probierzem jego niewiarygodnej — i bar-

dzo znamiennej pocztytności. Znamiennej, albowiem jest wyrazem nekającego nas głodu rzeczywistości, który zaspokaja czytanie Rocznika, wypełnionego maczkiem liczb, ujętych w kolumny pionowe.

**

Przerzućmy strony Rocznika. Pobieźna wędrowka odsłania krajobraz, z rzadka tylko rozjaśniony światłami, posępny krajobraz rodzimego prymitywu i zacołania zarówno materialnego jak kulturalnego. Cyfry prowadzą w ostępy i na rozdroża prymitywu, który jest synonimem nędzy.

Nie dobierając specjalnych zagadnień, spróbujemy odtworzyć nakły choćby fragment owego obrazu polskiej rzeczywistości, jaki daje Rocznik.

**

Stronica 43 i dalsze: „Ruch ludności”.

Na początku roku 1919 liczyła Polska przeszło 26 milionów ludności. Na początku roku 1937 — trzydzieści cztery miliony. W ciągu lat 1921 — 1936 przypada przeciętnie 900 tysięcy żywych urodzeń. Jednak sąsiednie cyfry pomniejszają odrazu ten przyrost o groźną cyfrę 110 do 145.000 zgonów niemowląt w ciągu roku! I dalej: na sto urodzeń żywych przypada 14 — 15 zgonów niemowląt.

W świetle danych porównawczych za rok 1935 Polska posiada najwyższy po Japonii przyrost naturalny z tą jednak poprawką, że wyróżnia się zarazem jednym z najwyższych odsetków zgonów (14 na tysiąc mieszkańców). Dalsza tablica poucza, że Polki są najpłodniejszymi kobietami Europy po Bułgarkach. Przyczem: kobieta polska ze wsi jest przeciętnie dwa razy płodniejsza od kobiety z miasta.

Jesteśmy krajem wysokiego przyrostu naturalnego i największej płodności, lecz zarazem — krajem najkrótszego życia! (obok Z. S. S. R.). Anglik dożywa przeciętnie 60 lat, Francuz — 56 lat, Niemiec — 60, Szwed — 62, a Polak — 46!

W bezplanowej wędrowce przez krajną cyfrę Rocznika, nie szukając bynajmniej przyczyn, dla których Polska jest krajem tak wysokiej wymieralności i tak krótkiego życia, mimowoli zahaczamy o jedną z tych przyczyn.

W bliskim sąsiedztwie poprzednich, stronica 67-a poucza o warunkach mieszkaniowych w Polsce.

Dwóch mieszkańców przypada przeciętnie na jedną izbę. Na wsi w mieszkaniach jednoizbowych przypada beżmała pięć osób. Innymi słowy: jedna piąta izby wiejskiej dla chłopca.

Jeśli chodzi o reprezentacyjne warunki stołeczne, to w Warszawie przeciętna liczba osób na izbę wynosi z górą dwie, dystansując gęstość zaludnienia mieszkań wszystkich stolic europejskich.

Natłoczone i duszne mieszkanie, a przede wszystkim — ciasnota izby wiej-

skiej nie sprzyja higienie. Skraca życie. Zadajemy sobie z kolei pytanie: jak odżywia się obywatel naszego kraju? Jaka jest stopa życiowa?

Na jednego mieszkańca Polski przypało w 1936 roku: 20 kilogramów mięsa, a więc 60 gramów w stosunku dziennym, około 12 kilogramów cukru (33 gramy dziennie) niespełna półtora kilograma mydła (4 gramy dziennie)... Przodujemy Europie spożyciem ziemniaków, jesteśmy na szarym końcu w spożyciu cukru, kawy, węgla, prądu elektrycznego...

Plastyczny obraz stopy życiowej najszerszych warstw ludności daje statystyka „środków do życia” rodzin robotniczych, bezrobotnych i pracowników umysłowych.

Przeciętne przychody rodziny robotniczej z pośród trzystu zbadanych w stolicy — wynoszą tygodniowo niespełna 25 złotych. Przychody poniżej pięciu złotych tygodniowo miało cztery procent rodzin. Na owe przychody składały się zarówno zarobki stałe i dorywcze, jak i zasiłki dla bezrobotnych członków rodziny, pomoc społeczna, pomoc rodziny i znajomych (przeszło 3 proc. ogółu przychodów), sprzedaż ruchomości i podnajem mieszkania.

Typowy budżet domowy rodziny robotniczej w Warszawie w roku 1927, a więc przedkryzysowym, przedstawiał się w sposób następujący:

Rodzina czteroosobowa wydawała rocznie 2100 złotych; Przeszło 80 procent rozchodów — to wydatki na żywność, komorne i odzież. Pozycja „kultura i oświata” — 3,6 proc. rozchodów.

W ramach takiego budżetu przypadało naprzykład na tak zwaną jednostkę konsumcyjną (czyli głowę rodziny; dziecko uważa się za pół jednostki konsumcyjnej): 2 kilogramy masła rocznie, niespełna 0,5 kg. sera, 9,5 kg. tłuszczów, 39 jajek.

Budżet rodzinny bezrobotnych w Warszawie zamyka się już sumą przeszło dwukrotnie niższą (921 zł. rocznie na cztery osoby). Roczne spożycie masła nie do sięga już kilograma, mleka — 39 litrów,

sera — piąta część kg., tłuszczów — tylko 8 kg., owoców — jedna dziesiąta kilograma rocznie!

Pracownik umysłowy prezentuje w obliczu tej wegetacji — niedosiężne szczyty dobrobytu! Stać go bowiem na ¼ jajka dziennie (!), na 13 kilogramów masła rocznie, 18 kilogramów owoców (1,5 kg. miesięcznie!)...

Rewelacyjny wręcz jest budżet rodzinny nauczycieli szkół powszechnych. Sieć oświaty na polskiej wsi nie stać na jedno jajko dziennie (na wsil), spożywa ich bowiem rocznie — 326, a masła — około dziesięciu kilogramów rocznie, tłuszczów — 14 kg., cukru — 33 kg., owoców — 30 kg. Za to zjada dużo ziemniaków, nie mniej niż bezrobotny: około 175 kilogramów rocznie.

Jaka jest wartość cieplna (kaloryczna) takiego odżywiania?

Dla robotnika równowartość spożycia dziennego wynosi niespełna 2.400 kaloryj, dla bezrobotnego — niespełna 2.100, dla pracownika umysłowego — 2700, dla nauczyciela szkoły powszechnej — 3.250.

Wszystkie te wartości są niższe od norm żywnościowych w wojsku.

Uzupełnieniem w pewnej mierze owych znamienych norm mieszkaniowych i odżywczych — są normy zdrowotne. Dział szesnasty Rocznika przedstawia stan zdrowotności publicznej w Polsce.

W 1935 roku przypada w Polsce niespełna czterech lekarzy na 10.000 obywateli; we Francji — sześciu, w Niemczech, Belgii — przeszło siedmiu, w Szwajcarii, Włoszech — przeszło ośmiu, na Węgrzech i w Japonii — przeszło dziesięciu.

Na dziesięć tysięcy mieszkańców rozporządza Polska niespełna 21 łóżkami w szpitalach, Czechosłowacja ma ich 51, Dania — 63, Norwegia — 82, Niemcy — 92...

**

Nasza wędrowka, wiedząca w ostępy i na rozdroża polskiego prymitywu, dobiega końca... Była może chaotyczna i bezplanowa, jak pierwszy wypad podróżnika w dżunglę, gdy co krok bujne poszycie lian zatrzymuje i zagradza drogę.

Przed kresem wędrowki wzrok jeszcze przykuwają cyfry: co dziesiąte dziecko nie ma dostępu do szkoły powszechnej, wśród ludności wiejskiej w wieku lat ponad dziesięć — nie umie pisać, ani czytać co trzeci, czwarty, a na Polesiu — co drugi mieszkaniec!

Cóż oznacza ułamkowa konsumcja, ułamkowe zużycie mydła, ułamek izby — na mieszkanie, ułamek łóżka — na spanie, ułamek książki — przypadający do słowni „na głowę”?

Owa „ułamkowa” kultura materialna i kulturalna oznacza poprostu, że niestety obywatel jest niedożywiony, niedomyty, niedouczony.

J. Smuga.

STANISŁAW MIŁKOWSKI
WALKA
O NOWĄ
POLSKĘ
 SKŁAD GŁÓWNY
 W KSIĘGARNI NAUKOWEJ
 WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 132
 CENA zł. 1.05 gr.

Wydarzenia i dokumenty

WYNURZENIA LEGIONISTY — DEMOKRATY

W „*Krakowskim Kurjerze Wieczornym*“ b. żywo redagowanym, ukazał się wywiad współpracownika tego pisma z Drem Mikołajem Kwaśniewskim, wicemarszałkiem senatu i b. wojewodą krakowskim. Wszystkie odpowiedzi udzielone przez Dra Kwaśniewskiego, są bardzo interesujące, zwłaszcza zaś poniższe dotyczące tematów jaknajbardziej aktualnych:

— „Jak p. Marszałek uważa, czy ustrój totalistyczny dopiął swego punktu kulminacyjnego i zaczął jakby staczać się po równi, czy też ma jeszcze widoki powodzenia?”

— Moim wewnętrznym przekonaniem jest, że ustrój totalistyczny się wali, że się utrzymać nie może. No, ale prorokować na ten temat nie możemy.

— Jaki, zdaniem p. Marszałka ustrój Polsce najlepiej odpowiada?

— Polska jeszcze nie wypracowała własnego ustroju. Niestety Komendant nie żyje. Jesteśmy w poszukiwaniu ustroju. Angielski ustrój ani francuski w Polsce nie da się w całości zastosować, dlatego ustrój ten musi być przystosowany do warunków polskich, atoli zasada tego ustroju musi być demokracja. Jeszcze w Polsce nie narodziła się idea, która by odpowiadała charakterowi polskiemu.

W dalszej rozmowie p. Marszałek oświadczył, że w OZN. nie odgrywa czynnej roli. Ponieważ po ogłoszeniu deklaracji płk. Koca Związek Legionistów Okręg Krakowski zgłosił przystąpienie do OZN-u, wobec tego jako prezes tego Związku, figuruję w spisie. To jest jego cała łączność z OZN-em. Nie ma dwóch zdań — oświadczył Wicemarszałek Kwaśniewski — że wszyscy legioniści to demokraci. Wyszli przecie ze szkoły Komendanta, który był demokratą. Stoją twardo — zakończył dr Kwaśniewski — na tym stanowisku i z nikim takim, który się różnił z Komendantem, rozmawiać nie będą!”

DOTKLIWA ALE ZASŁUŻONA OCENA

Demagogia i warcholstwo prasy endeckiej spotkało się z zasłużoną oceną, tym dotkliwszą dla „obozu chłopskiej krzywdy i narodowej hańby“, że ukazała się nie na łamach pism demokratycznych i lewicowych. Katowicka „*Polonia*“ organ chrześcijańskiej - demokracji, takie endecji wystawia świadectwo:

„Widać, że w Stronnictwie Narodowym panuje wielki chaos myśli i pojęć. Autorzy artykułów w głównym ich organie przejeżdżają przez truciznę hitleryzmu, sekun-

dują mu na całej linii, ale to nie przeszkadza im podkreślać swego katolicyzmu, gdy tego wymagają taktyczne względy polityczne.

Trudno się potem dziwić, że ten sam organ obronę godności, wolności i praw człowieka nazywa wystęgiwanie się żydokomunie i masonerii, że demokracja w jego pojęciu jest owocem myśli masońskiej i ma swą siedzibę w lożach masońskich, które są narzędziem Żydów. Kto tak rozumuje, mówi też z lekceważeniem o tych, którzy powołują się na encykliki papieskie, broniąc godności i praw człowieka przed zachłannością hitlerowskich pojęć narodu i państwa. Stronnictwo Narodowe szerzy w ten sposób zamęt duchowy i moralny w społeczeństwie, a pośrednio jest ostoją reżimu sanacyjnego w Polsce, który rzekomo zwalcza”.

Ale boleśniesz jest jeszcze to, że umiarkowanie endecki „*Kurier Warszawski*“ podzielił tę opinię i zaopatrzył ją w nagłówki wielomówiacy: „Po linii hitlerowskiej”.

POZYTECZNE WYSTĄPIENIE

Na łamach „*Robotnika*“ omawia Zygmunt Żuławski palące dziś zagadnienie wolności prasy, będącej obecnie najważniejszym i poniekąd jedynym instrumentem opinii publicznej. Podzielając całkowicie słuszne wywody autora przytacza my je poniżej:

„Największą prężność posiada myśl ludzka — pisze Z. Żuławski. — Ona rozsądza wszystko, pokonywa każdą przeszkodę i nie ma siły, która by mogła przeciwstawić się jej wszechmocy. To tak jak z gazem: im bardziej jest lotny — tym bardziej jest niebezpieczny, a wywieranie nań ciśnienia musi prędzej czy później spowodować wybuch, — podczas gdy przeciwnie — wolny — nie stwarza żadnego niebezpieczeństwa. Ci, którzy myśl ludzką cisną — stwarzają największe niebezpieczeństwo, — stwarzają możliwość największego spustoszenia, doprowadzając do punktu nieuniknionego wybuchu”.

„Prasa i wolne słowo, wbrew uroczystem zapewnieniom o wolności prasy — ograniczone są nie tylko kodeksem karnym, lecz również samowolą i strachem. Gdyby nie ustawowy zakaz, przytoczyłbym wiele wprost niewiarygodnych wypadków, w których żaden cenzor i żaden prokurator nie może uzasadnić, w czym dopatrywał się obrazy prawa w konfiskowanych przez siebie słowach. A przecież ta obraza prawa jest jedynym warunkiem, uprawniającym konfiskatę i powodującym w ten sposób skrepowanie wol-

nej myśli ludzkiej. Konfiskuje się u nas niejednokrotnie rzeczy — nie te, które są sprzeczne z prawem i z kodeksem karnym, lecz te, które są niewygodne, które kompromitują poszczególnych ustosunkowanych ludzi i mogą przypomnieć, fakty przykre i bolesne, ale niemniej prawdziwe. A przecież jeśli ktoś miał odwagę popełnić czyn, którego się wstydzi — czym zły i szkodliwy, to nie wolno go zasłaniać konfiskatą, — lecz przeciwnie, — trzeba czyn ten ujawnić i stworzyć możliwość poniesienia za niego odpowiedzialności”.

NA JAK DŁUGO?

„*Ikac*“ Krakowski, który świeżo odstąpił od hitleryzmu, zapragnął również wolności słowa i obecnie przyłącza także swój głos do ogólnego chóru prasy, chcąc uchodzić obecnie za szermierza demokracji:

„Prasa powinna być uznawana za coś niezależnego od czasu i stosunków, od kliki rządzącej (nie znaczy to, by nie miała popierać tej czy innej koncepcji politycznej, reprezentowanej przez rząd). Powinna być tak niezależna, jak niezależne jest prawo.

Prasa jest opinią kraju i powinna tym być. Ma wyrazić bez obsłonek co myśli ogół i jakie w nim prądy nurtują. Tylko prasa jest zdolna do oddania nastrojów, a więc jest niezastąpiona jako pomoc dla każdego rządu. Dusząc prasę, nie zdusi się nastrojów, a pozbedzie się najcenniejszego źródła orientacji. Jest to prawda oczywista, lecz stale duszona”.

W OBRONIE TYRANII

Propaganda niemiecka w krajach zachodnio - europejskich przybiera ostatnio na sile i usiłuje dokonać cudu.

Z wizytą propagandową przybył niedawno do Anglii wysłannik ministerstwa propagandy, doktor Karol Abshagen. Pierwszemu jego występowi na terenie Anglii, poświęca londyński „*Manchester Guardian Weekly*“ następującą wzmiankę:

„Doktor Karol Abshagen, który wystąpił w obronie narodowego socjalizmu, słuchany był ze współczuciem, należnym człowiekowi, który podjął się rzeczy niemożliwej.

Zapytano go między innymi, dlaczego hitleryzm żąda wolności dla niemieckich mniejszości w innych krajach, skoro odmawia wolności rasowym i politycznym mniejszościom w Niemczech. Doktor Abshagen mógł skonstatować tylko jedno: że nie może być wogóle mowy o wolności, albowiem w narodowo socjalistycznych Niemczech — pozbawieni jej są

Niemcy narówni z Żydami. Chodzi tylko — jak określił doktor Abshagen — „o stworzenie specjalnego statutu”, dodajmy — statutu, który czyni z Żyda istotę niższą, wobec której żadne upokorzenie nie jest zbyt wielkie. Chodzi o rozmyślne i oficjalne prześladowania rasowe, których nikt włącznie z doktorem Abshagenem nie zdoła usprawiedliwić...

Doktor Abshagen starał się również dać do zrozumienia, że nie ma żadnych politycznych mniejszości w Niemczech, albowiem 98% głosów w ostatnim plebiscycie padło na Hitlera. Nasuwa się tedy pytanie — jakiemu celowi służyć mają wyjątkowe prawa, cenzura, więzienia i propaganda? I dlaczego „reprezentantem” Niemiec jest doktor Karol Abshagen, a nie — powiedzmy — Ernest Thälmann albo pastor Niemöller z Dahlem?”

GUERNICA

„London Mercury” ogłasza artykuł George'a Steera, który kładzie kres wszelkim wątpliwościom w głośnej sprawie odpowiedzialności za barbarzyńskie zniszczenie miasta Guernica. Steer przybył do miasta w kilka godzin po odlocie bombowca i usłyszał relację od mieszkańców, którzy przeżyli najazd i zdołali ocalać. Trudno o bardziej niecny i haniebny epizod w historii naszych czasów. Spokojne miasto o wielowiekowej tradycji dziejowej padło w jasny dzień ofiarą najnowocześniejszych metod wojennego wandalizmu. Najpierw rzucano pięćdziesięć funtowe bomby i ostrzeliwano z samolotów miasto karabinami maszynowymi. Potem ukazały się ciężkie bombowce, rzucając tonnowe ładunki bomb. Z kolei spadły torpedy, miażdżąc doszczętnie budynki od dachów po sutereny. Przerażona ludność zaczęła w panice uciekać z miasta, a wówczas samoloty zniżyły lot, by móc ją ostrzeliwać z karabinów maszynowych.

„Była godzina piąta piętnaście. Przez dwie i pół godziny kilkanaście aeroplanów bombardowało Guernicę bezplanowo i bezlitośnie. Po bombach wybuchających padały bomby zapalające, te ostatnie — po dwadzieścia cztery naraz. Wkrótce miasto całe stanęło w płomieniach. Z każdego okna buchały płomienie ognia. Guernica przestała istnieć”.

ZAKAŁA ZASZCZYTNEGO ZAWODU

Po odwołaniu swego korespondenta berlińskiego, Normana Ebbutta, londyński „Times” podkreślił w swym artykule redakcyjnym, że dziennikarze niemieccy w Anglii mieli zupełną swobodę krytyki przychylniej lub nieprzychylniej. Skoro

władze brytyjskie wezwały ich do opuszczenia kraju, to spowodowane to zostało działalnością niemieckich korespondentów, nie nie mającą wspólnego z wykonywaniem zawodu dziennikarskiego. Rząd niemiecki innymi natomiast kieruje się względami w swych represjach. Dotychczas bowiem trzech dziennikarzy brytyjskich i wielu innych opuścić musiało Niemcy jedynie dlatego, że informacje ich nie przypadły do smaku władzom niemieckim. Rząd brytyjski nigdy nie stosował odwetu. Nie ma mowy o zastąpieniu Normana Ebbutta przez bardziej uległego korespondenta. Wydalenie korespondenta „Timesa” utwierdzi jedynie opinię publiczną w Anglii i zagranicą w przekonaniu, że normy hitlerowskie nie odpowiadają przyjętym obyczajom cywilizowanego życia międzynarodowego.

„Manchester Guardian” wskazuje, że wśród korespondentów niemieckich w Londynie wielu uprawia propagandę hitlerowską, a znaczna liczba Niemców w Anglii zajmuje się szpiegowaniem Anglików, a zwłaszcza dziennikarzy niemieckich, którzy uchodzą za wrogo usposobionych wobec hitlerizmu.

„Daily Herald” informuje, że wydalenie trzech dziennikarzy niemieckich spowodowane było tym, że szpiegowali oni i terroryzowali uciekinierów niemieckich w Anglii.

„Evening Standard” podaje, że na ogólną liczbę 20 tysięcy Niemców, zamieszkających w Anglii, 400 jest agentami niemieckiej policji tajnej.

MAŁPIE ZWIERCIADŁO

Różni uzurpatorzy władzy nie mogąc osiągnąć zniechęconych pisarzy, ani spalić żywcem na stosie, ani odgrodzić od świata w obozach koncentracyjnych, mszczą się przynajmniej na ich dziełach. Pała więc je na placach publicznych, łudząc się, że płomienie pochłoną na wieki światło rozumu, bijące z ich książek.

Ostatnio znów gen. Franco takim bohaterkim czynem zdobył „wawrzyn literacki”. Dn. 31 lipca z okazji święta Ignacego Loyoli, założyciela zakonu jezuitów, przed jego posągiem w Bilbao spalono dzieła Renana, France'a, Blasco Ibaneza, Marksa, Bakunina, Zoli i Dickensa (!).

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu R. B. w Nałęczowie: Numer wysłaliśmy. Za pamięć bardzo dziękujemy.

Pani M. T. w Krynicy: Utworzyli grupę literacką „Żagary”. To są brednie i złośliwe plotki, szerzone przez wrogów Dembińskiego i jego kolegów. Chyba naj-

śluszniesze stanowisko jest takie: niech sąd orzeka o winie, jeżeli zawinili. Ale pocóż z nich robić niebezpiecznych zbrodniarzy i więzić ich przed rozprawą sądową. W obawie, iżby nie uciekli przed ręką sprawiedliwości? To jest nie do pomyslenia.

Pani W. G. w Wilnie: Autor w Warszawie nieobecny. List doręczymy mu po powrocie.

Pani St. Cz. w Częstochowie: Rzecz się nadaje do pisma, poświęconego wyłącznie tym zagadnieniom. Miesięcznik „Trzeźwość”: Warszawa, Fałata 4 m. 1.

Nauczycielowi w Łodzi: Słuszność mają oponenci Pana: tytuł pierwszego jadowitego artykułu po wyborze Gabriela Narutowicza brzmiał nie „Zakała”, lecz „Zawada”; tytuł drugiego nie „Ciszej nad grobem”, lecz „Ciszej nad trumną”.

Panu J. D. w Warszawie: Wszystkie numery wysłaliśmy podług wskazanych adresów. Wdzięczni bardzo jesteśmy za tyle życzliwości.

Panu S. K. w Zamościu: Istotnie, w zeszłym roku padły te słowa z trybuny Senatu, ale wypowiedział je nie prof. Makowski, lecz prof. Michałowicz. Jest to wielka różnica. W stenogramach posiedzeń znajdzie Pan tekst dokładny. O ile pamięć nas nie myli, to prof. Michałowicz użył zwrotu: „w 1920 r. pod broń zbiegło się więcej pepesowców, niż było w wojsku karabinów do rozporządzenia”.

Panu B. W. w Radomiu: „Epoka” ukazuje się dwa razy w miesiącu: 5-go i 20-go. Tego numeru już do odstąpienia nie posiadamy, możemy służyć tylko kompletem za drugie półrocze 1936 r.

Panu Ludwikowi B. w Lublinie: Ciska ja oszozerstwa, bo nie mają argumentów. Za miłe słowa dziękujemy.

Panu Zdzisławowi L. w Częstochowie: Rzecz interesująca, ale napisana bezładnie, trzeba by ją gruntownie przerobić.

Pani J. M. w Sanoku: Każda większa księgarnia sprowadzi Pani te rzeczy w ciągu tygodnia.

Panu H. Ż. w Ciechocinku: Poruszaliśmy tę sprawę kilkakrotnie, w związku z różnymi okolicznościami. Ostatnio w Nr. 14 z r. b.

Pamiętnikarzowi w Tarnowie: Roczniki tych czasopism znajdują się w Bibliotece Publicznej w Warszawie. Niewątpliwie Sekretariat odpowie Panu wyczerpująco.

Pani E. S. we Lwowie: Rzecz nadaje się do pisma, poświęconego zagadnieniom gospodarstwa domowego.

Panu K. M. w Truskawcu: Wszystkie numery wysłaliśmy. Wdzięczni jesteśmy za pamięć i życzliwość.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. REKOPISÓW nie zwraca się. PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedynczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC.

4016 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.